N. 12. WARSZAWA d. 11 (23) Marca 1872 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ODCZYT PUBLICZNY

PRZEZ

J. K. Gregorowicza

NA KORZYŚĆ

WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA

DOBROCZYNNOŚCI.

odbyty dnia 28 Stycznia b. r.

(Dokończenie).

Zwracając ich uwagę na nie przeliczoną ilość gwiazd, unoszących się nad naszemi głowami, których liczbę każde ulepszenie dalekowidzów powiększa do nieskończoności, na życie rozpostarte na ziemi, które gdzie się zaczyna, a gdzie kończy, ludzie nie mogą dopatrzyć, powiedzmy im, że tak samo Bóg jest nieograniczony w swéj Istocie, bez początku i końca: był, jest i będzie.

Ale obok wielkości i mądrości, Bóg ten jest i pełnym miłości. Zaraz więc rozwińmy przed dziećmi obraz życia na ziemi, roztwórzmy jéj wnętrze z pokładami rud metalicznych, węgla, soli, ze strumieniami wód źródlanych i leczniczych, wskażmy im, że każdy zwierz choćby największy, mały ptaszek, ryba, robaczek najmniejszy, olbrzymie drzewo lub trawka najlichsza, wszystko to obdarzone zostało warunkami bytu, posiada środki obrony i wyżywienia się, służy jedno drugiemu, wspiera, pomocniczy, a człowiek najsłabszy fizycznie, najpotężniejszą dostał broń, rozum, którym panując światu, ze zwierząt i roślin wyciąga jak najmożebniejsze dla siebie korzyści, otacza się z nich wygodą nawet zbytkiem, i z wnętrza ziemi zdobywa środki ku temu posługujące. Z widoméj tak miłości Boga dla całego żyjącego stworzenia, uczmy dzieci kochać Boga sercem, duszą i myślą, a bliźniego jak brata, jako głównych podstaw cywilizacyi chrześcjańskiéj.

Przechodząc do osobistości dziecka jako istoty duchowéj, przeznaczonéj ciągłem doskonaleniem się, zdobywać wewnętrzny spokój, poszanowanie ogólne i warunki doczesnego i wiecznego szczęścia, wskazujmy mu siły natury, tak potężne w swojem działaniu, jak para, elektryczność, gromy piorunowéj burzy, nad któremi człowiek umiał zapanować i zaprządz do pracy na swój pożytek. Powiedzmy mu, że siły te natury ujarzmiła myśl ludzka, że więc jest potężniejszą od nich, i że tym samem duch ludzki nią władający, jest od materji zacniejszym choć niewidomym, że gdy ta nie ginie, więc i duch ludzki w nicość zapadać się nie może, i choć przeznaczony do życia w cielesnéj osłonie, po rozłączeniu z nią, unosi się w nieznane krainy, aby byt swój przedłużać bez więzów przykuwających go do ziemi. Żeby jednak ten nieśmiertelny duch ludzki spełnił swe przeznaczenie w związku z ciałem, zgodnie z wolą Boga, powiedzmy mu, że nad zdrowiem tego ciała czuwać troskliwie należy i unikać wszystkiego, co mu szkodę przynosić może.

Że jak rzemieślnik choćby najzdolniejszy, pozbawiony dobrych narzędzi, nie wykona nigdy tego dobrze czego zapragnie, tak i duch ludzki w słabem ciele nie rozwinie się nigdy do potrzebnéj mu dzielności. Mówmy mu więc o nerwach po całem rozpostartych ciele, o zależności ich od nerwów mózgu, które niemi rozporządzają według naszéj woli, o nich wreszcie samych jako narzędziach myślenia, rozważania, wnioskowania, pamięci i nabywanych wiadomości. Uczmy je, że pokarm przy pomocy błony śluzowéj wydzielającéj sok żołądkowy, aby był należycie trawiony, musi być umiarkowanie pobierany, bo nadto użyty błonę ową śluzową wycieńcza, opróżnia i pozbawiony dostatecznéj ilości środka trawiącego, nie przerabia się należycie w krew, która żywi całe ciało, a więc i narzędzia myślącéj naszéj duszy. Mówmy mu, że krew ta krążąc po niem zasilając je, odżywiając w najtajniejszych zakątkach, równie zasila mózg cały będący zbiorowiskiem narzędzi działalności ducha ludzkiego, jeżeli więc krew źle została przysposobioną, czy to z nadmiaru lub niewłaściwości pobranego pokarmu, i mózg musi się źle odżywiać i dawać złe narzędzia duszy, przy pomocy których pojmujemy, zastanawiamy się i pamiętamy. Wpłynie to niezmiernie na zmniejszenie w dzieciach skłonności do zbytniego objadania się, łakomstwa, pożądliwości przysmaczków, a w przyszłości uchroni je od widzenia w jedzeniu i piciu jedynego celu życia, jakiego wyznawców, na wspólne wszystkich nieszczęście, niemało posiadamy.

Przedstawianiem anatomicznego składu roślin, zwierząt i ludzi, jak wszystko tam się wspiera wzajemnie, pomocniczy, ratuje, pomaga, jak każda rzecz na świecie ma cel swego bytu, jak skutkiem tego zwierzęta mnożą się, rośliny krzewią, jak ciało zarówno człowieka jak roślin i zwierząt, uszkodzone wypadkiem samo się ratuje, okrywa rany klejem lub żywicą, aby je zasłonić przed zbyt ostrym wpływem powietrza, złamane kości lub gałązki łączy, zerwane ścięgna wiąże, uczmy dzieci obowiązków względem ojczyzny i ludzkości, potrzeby nauczania się jakiéj pracy, bez względu na stanowisko lub bogactwo rodziców, i samodzielności tak koniecznéj w życiu ludzi i całych społeczeństw, bez oglądania się na cudzą pomoc zwykle zawodną a zawsze ubliżającą.

Wykazaniem piękności w sztuce, w malarstawie, snycerstwie, architekturze, harmonji rozlanéj w całym widomym świecie, a tak plastycznie przedstawiającéj się w muzyce, wpajajmy w dzieci konieczność poślubienia i ukochania tych dwóch ważnych czynników życia ludzkiego, przez zamiłowanie piękna w czynach i myśli, a harmonji w stosunkach rodzinnych i społecznych.

Obrazowaniem mozołu pracy uczonych ich zaparcia się dla wiedzy samych siebie, trudu i wysiłku przemysłowców, kupców, rzemieślników i wszyst-

kich pracowników ręką; jak powietrze, woda, ziemia, wiatry, chmury, słońce, pracują dla całego żyjącego świata, rośliny wydychaniem dla zwierząt i ludzi, a ludzie i zwierzęta przez oddech dla roślin, jak nawet materje gnijące i pozornie w niwecz się obracające jeszcze wielki przynoszą z siebie pożytek, jak otrzymywane ztąd owoce działalności tak różnorodnych przedmiotów, łączą się z sobą, wzajemnie wspierają i w następstwie niosą gotowe dary ludziom, posługujące do wygody i uprzejemnienia ich życia. Uczmy dzieci poszanowania nauki, cześci dla uczonych, godności pracy bez względu na jéj rodzaj, jéj zamiłowania i kochania tych co gorliwie spełniają swe obowiązki choćby najprostszych wyrobników, unikania próżniaków choć bogaczy i brzydzenia się grzeszną bezczynnością, wyłamywaniem się z obowiązku pracy, jako sprzecznych z przeznaczeniem człowieka przez Boga stworzonego.

Aby rozbudzać w dziecku pojęcie potrzeby nauki, konieczności ciągłego jéj poświęcania się, przedstawiajmy mu różne korzyści otrzymywane przez ludzkość z poznawania przyrody i branéj nad nią przewagi.

Wyjaśniajmy mu siły natury i ich zastosowanie, urządzenie różnych maszyn, narzędzi, przyrządów, ich użyteczność i dogodność, ich wpływ zbawienny na pomyślność ludzkości; powiadajmy że do tych wszystkich zdobyczy ludzie doszli myślą, rozumem wspartą, więc ten rozum należy kształcić nauką i wiadomościami.

W otworzonéj tak księdze przyrody i pracy ducha ludzkiego, wykazaniu co jest znanem, a co jeszcze tajemniczem, co już zrobiono, a co pozostaje do urzeczywistnienia, dziecię czerpiąc zachętę do nauki, w obec nieprzebranych obszarów dla dociekania wiedzy pozostawionych, uczyć się będzie pokory, niszczyć wybryki zarozumiałości tak zawsze wstrętnéj, a tak często w świecie spotykanéj.

Dla łagodzenia w dzieciach szkodliwych popędów ze zmysłowości powstających, jak upór, lenistwo, krnąbrność, zuchwalstwo, samowola, złość, popędliwość, a zaszczepiania przeciwnych zupełnie przymiotów, odsłaniajmy przed niemi dzieje historyczne ludzkości, wybierajmy z nich wybitniejsze postacie, które przymiotami swemi lub wadami, zasłużyły na miłość lub wzgardę potomności. Wykazujmy jak ich duma, pycha, nieuctwo, nietolerancja religijna stawały się powodem nieszczęścia dla pojedynczych ludzi lub całych społeczności; jak rozumni i zacni przodownicy ludów byli dla nich szczęściem i błogosławieństwem, jak lekceważenie prawd religijnych, brak oświaty, zepsucie moralności, lenistwo, samolubstwo spycha w poniżenie jednostki, i całe społeczeństwa.

Wielkiem tu także będą poparciem dobre książki z powieściami i powiastkami odpowiednio do wieku dziecinnego napisanemi. Unikać tylko należy zbyt roztkliwiających, poświęconych opisowi saméj niedoli, bez wykazania przyczyn ją sprowadzających i środków do jéj uniknienia dążących. Pozbawione tych warunków drażnią zmysły, wzmagają uczucia, a nie pośrednicza dla obudzenia czynności myśli.

Moralizowanie w nich zbyteczne także jest szkodliwe bo nudzi, a mali bohaterowie rozprawiający jak pobożni kaznodzieje o Bogu i obowiązkach człowieka nieznośni, bo nieprawdziwi. Utwór powieściowy dobry dla dzieci powinien je przedstawiać jako małych ludzi, ze wszystkiemi popędami do złego i dobrego, nie jakieś wymarzone ideały, dalekie od rzeczywistości, morał zaś powinien się zamykać w akcji, w dramacie przedstawianych wypadków, aby czytelnik zaspakajając obudzoną w nim ciekawość, mimowoli wyrabiał w sobie pojęcie piękności, dobra, a brzydoty wszystkiego co złe i niegodziwe.

Literatura dziecinna nasza, a po części i obca niewiele podobnych powieści posiada, dawna rutyna działania na uczuciowość z pozostawieniem myśli na boku, jeszcze przeważa w piszących. Przypadki Robinsona Kruzoe na zawsze podobno będą wzorem dla prac tego rodzaju, bo tam akcja wszystko zastępuje, a umysł czytającego ciągle jest zajęty myślą, jak też sobie w danym wypadku biedny samotnik poradzi. Ztąd interes ciągle w jednem utrzymywany naprężeniu i niestarte niczem wrażenia, jakie z przeczytania dziełka tego każdy odnosi.

W podobnem powoływaniu nauk do działania na myśl dzieci i wprawianiu jéj do czynności, nie idzie o systematyczny ich wykład na teorji oparty, ale o wybieranie z nich oderwanych szczegółów w pewnym już naprzód ułożonym planie.

Usługa podobna nie zaszkodzi w niczem naukom owszem przeciwnie, zachęci do ich późniejszego uczenia się w wykładzie już ściślejszym, bo dziecię z praktyki obezna się z ich ważnością i użytkiem.

Wychowanie prowadzone w ten sposób, tak w domu jak szkołach, da uczniów chętnych, gorliwych, nie wywijających się różnemi wybiegami od jéj trudności nabywania, ale przeciwnie łaknących jéj i pragnących światła, które przynosi. Wszczepiana przez nie miłość Boga i bliźniego, będzie gruntowniejszą i trwalszą, od nakazywanéj przepisem, bez wytłomaczenia dla czego téj miłości domagamy się. Przez nie jedynie Bóg w umyśle dzieci, stanie w całéj wielkości swego Jestestwa, jako mądry, miłujący i niepojęty, tak jak tego domaga się nauka Chrystusa. Gdy dziecię się zapyta, gdzie Bóg się znajduje? odpowiedzmy mu z pokorą: wszędzie moje dziecię, i na każdem miejscu, bo gdzie spojrzę wszędzie dostrzegam dzieła niepojętej Jego mądrości.

Nadawanie tu Bogu jakiejkolwiek zmysłowéj postaci, mieszczenie Go w jakiemkolwiek bądź zmysłowem otoczeniu, niezmiernie na przyszłość dziecka szkodliwie oddziaływa. Bóg w zmysłowéj formie nie może być pojęty tem czem jest, dla tego gdy późniejsza rozwaga przekona o jéj błędności, człowiek wpada w zwątpienie i zdradzony w najświętszéj dla siebie rzeczy, wątpi o wszystkiem, nawet o bycie i nieśmiertelności duszy. Jak smutne z tego wypływają następstwa dla ludzi i całych narodów, a przez nie dla ludzkości łatwo osądzić.

Wszczepianie także w dzieci moralności za pomocą nauk, jako żywe słowo wzięte ze świata i dziejów ludzkości, pod względem wpływu nawet się porównać nie da, z suchym wykładem lub prostem strofowaniem złego, a zalecaniem dobrego.

Tak więc pod każdym względem nowa metoda zasadzająca się na łagodzeniu zmysłowości przez ożywianie czynności myśli, odpowiada swemu przeznaczeniu. Przez nią tworzyć się będzie myśląca młodzież, która przysporzy całéj społeczności obywateli także myślących, wolnych w duchu, a nie niewolników zmysłowości, narzucającéj pęta na wszystkich. Według niéj to urządzony został cały systemat wychowania dzieci od najmłodszego wieku przez Fr. Froebla. Żałować jedynie trzeba, że założony w Warszawie odpowiedni instytut trwał tak krótko i nie został oceniony jak należy. Mam jednak nadzieję, że w przyszłości w celu przyswojenia téj metody społeczność nasza więcéj okaże skrzętnego zabiegu. Dziś do wprowadzenia jéj w praktyczne zastosowanie do całego wychowania, brak nam bardzo wiele; dla matek i ojców rodzin stosownych przewodników, a dla szkół i szkółek nauczycieli, coby się chętnie podjęli podobnego nauczania. Ale róbmy co możemy i z dniem każdym usiłujmy robić coraz lepiéj z pomnażaniem środków do tego prowadzących. Pomału przeszkody się usuną, chęć wzrośnie, zapał wzmoże, a usilność reszty dokona.

Na staraniach pod tym względem nigdy u nas nie brakowało. Kwestją wychowania zajmowali się w bieżącym stuleciu: Tańska, Dziekoński, Sierociński, Trentowski, Estkowski, Ziemięcka, a najwięcéj czynnym jako nauczyciel był nieodżałowanéj pamięci Stanisław Jachowicz, który rzec można, iż całe nowe pokolenie wychował krajowi. Pisarze jednak ci pojmując niedostateczność dawniejszéj teorji, nowéj nie nakreślili dość jasno i wyraźnie. Tańska i Ziemięcka głównie zajmowały się wychowaniem kobiet, ale gdy Tańska na pierwszem planie pomieściła idee etyczne, druga wyłącznie zaleca wychowanie religijno filozoficzne, zasadzające się na gruntownem poznaniu wszystkich systematów filozoficznych z wykazaniem ich błędów i wadności.

Trentowski w Chowannie na rozbudzeniu myśli przez odpowiednie wychowanie, zwrócił już większą baczność, ale granice dla niéj zanadto rozszerzył, zapominając że ta w dziedzinie wychowania powinna być stale oznaczoną. Jachowicz jako nauczyciel w wykładzie swym najwięcéj zbliżał się do systemu dziś zalecanego, szkoda tylko że nie wygotował odpowiedniego przewodnika, czego mu stargane siły pracą nie dozwoliły.

W nowszych pracach poświęconych wychowaniu dzieci, zwrot do rozbudzania w nich myśli i przez nią działania na ich moralne wykształcenie, jest już jasny i wyraźny, a pomiędzy temi na większe zalecenie zasługuje przewodnik wychowania wydany przez Henryka Wernica w r. 1868 i kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych przez panią A. D. wydanych w roku zeszłym 1871.

Wszystko zatem zdaje się zapowiadać, że metoda dawniejsza nie ujmująca uczuć w karby myśli, z czasem zupełnie zarzuconą u nas zostanie, a jako zapowiedź téj nieplonnéj nadziei mogę szanownym słuchaczom udzielić wiadomość, że gotujący się już od lat kilku przewodnik nauczania dzieci od lat najmłodszych, według zasad powyżéj przedstawionych, a wypracowany przez p. Augusta Jeskego pedagoga i literata, wkrótce z druku wyjdzie na widok publiczny.

Z tą miłą wieścią, kończąc odczyt niniejszéj rozprawki, poddaję ją pod sąd światłéj waszéj opinji. Być może żem wiele w niéj pominął, żem niektóre szczegóły niedostatecznie objaśnił; wybaczcie mi te niedostatki przez wzgląd, że wychowany w dawnéj rutynie pamiętania a nie pojmowania, myśl moja nie nabrała potrzebnéj wprawy koniecznéj do jasnego przedstawiania tego co czuję i pojmuję.

Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie.)

W połowie lutego miasto nasze tak ubogie w piękne kamienice, a nawet w ogóle w domy mieszkalne poniosło bardzo dotkliwą klęskę. Dnia 17 lutego bowiem spłonął wspaniały dworzec kolei lwowsko-czerniowieckiéj, którego wartość zabezpieczona w kilku towarzystwach asekuracyjnych wynosi krociowe sumy. Pożar trwał prawie trzy dni, a ratunek był niemożliwy, bo woda zanim zdołano ją przywieść z odległych studni, zamarzała zupełnie i dopiero ją rozgrzewać musiano. W chwili gdy płonął dworzec, dokąd udała się straż ogniowa miejska i ochotnicza, wybuchł pożar na ulicy Kopernika i zagrażał silnie gmachowi Wydziału krajowego, a nawet całéj

ulicy. Popłoch był ogromny, gdy płomienie ogarniać zaczęły sąsiednią kamienicę, a straż ogniowa zatrudniona na dworcu i znużona nadludzkiem wysileniem nie zdołała przybyć w porę na ratunek. Zaledwie ugaszono pożar na ulicy Kopernika, z wieży ratuszowéj usłyszano nowy sygnał pożarowy. W kamienicy na ulicy Jagiellońskiéj wybuchł ogień w kominie, a chociaż szybko ugaszony został, jednakże wzburzenie i popłoch wzrosły ogromnie w całem mieście. Świadkowie tego popłochu mieli w miniaturze obraz panowania komuny paryzkiéj. Zniszczenie dworca jest nietylko klęską dla funduszów kolei lwowsko-czerniowieckiéj ale poniekąd nawet dla mieszkańców. W wielkim tym gmachu znajdowały się bióra i mieszkania urzędnikow, co wszystko przenieść musiano obecnie do kilku kamienic prywatnych. Ta zmiana w obec niesłychanéj drożyzny pomieszkań, zapewnie nie jednéj rodzinie zmuszonéj do opuszczenia pomieszkania ciężko, dała się uczuć.

Kiedy już mowa o klęskach jakie poniósł Lwów w ubiegłym miesiącu, więc wspomnieć tutaj muszę o obawie, którą kilka dni przejęci byli mieszkańcy tutejsi. W ostatnich dniach lutego w skutek wytężającéj pracy a może także w skutek przykrych wrażeń doznanych w czasie pożarów, ciężko zachorował powszechnie poważany, niemal uwielbiany prezydent naszego miasta, znakomity człowiek sejmu lwowskiego a od niedawna wiceprezydent Rady państwa, dr. Florjan Ziemiałkowski. Dwukrotny krwotok piersiowy groził katastrofą, która w pierwszych dniach słabości zdawała się być nieuniknioną. Ludność z niepokojem i nadzwyczajnem współczuciem czekała codziennie na wiadomości o stanie zdrowia swego prezydenta. W chwili gdy piszę te słowa stan zdrowia tak się polepszył, że choremu nie grozi już niebezpieczeństwo. Ale miasto poniosło zawsze niepowetowaną klęskę, bo dr. Ziemiałkowski po przebyciu tak ciężkiéj choroby, unikać będzie musiał wytężającéj pracy i silniéjszych wrażeń i w najlepszym razie zapewnie na dłuższy czas wyjedzie ze Lwowa dla poratowania zdrowia. Przymusowa bezczynność tak świetnego talentu organizatorskiego i niezmordowanéj energii, jest niezawodnie ciężką stratą dla Lwowa, który po nie bardzo szczęśliwéj gospodarce poprzedników dr. Ziemiałkowskiego, obecnie dźwigać się zaczynał. Dla spraw miasta a jeszcze więcéj dla spraw krajowych w sejmie, które wymagają żelaznego zdrowia i młodzieńczéj siły, jeżeli mają być z istotnym pożytkiem załatwiane, dr. Ziemiałkowski jest już prawie straconym. Współczucie okazywane prezydentowi miasta w czasie słabości przez całą ludność, jest wymownym dowodem, że cała burza wywołana przeciw niemu przed dwoma laty i wrzaski na jego kierownictwo delegacji galicyjskiéj w wiedeńskiéj Radzie państwa, były tylko sztuczną sprawką ruchliwéj, a nieprzebierającéj w środkach garstki agitatorów.

W świecie literackim zapanowała znowu chwilowa stagnacja, nieprzerwana od dłuższego czasu żadną poważniejszą publikacją. Wyjątek stanowi pod tym względem pierwszy tom, wydanego niedawno w Krakowie pisma zbiorowego pod tytułem: *Na dziś.* Jestto tom bardzo spory i obejmuje artykuły najrozmaitszéj treści. Obok ściśle naukowych rozpraw niezapomniała redakcja o lekkiéj lekturze i umieściła kilka obrazków poetycznych i powieściowych. Niepodobna odgadnąć, czy takie pismo zbiorowe wychodzące raz na rok znajdzie u nas dużo prenumeratorów. Jestto bowiem pierwsza próba tego rodzaju. W każdym razie pierwszy tom jest wcale silną ponętą dla wszystkich, którzy popierają prenumeratą nasze perjodyczne wydawnictwa.

Księgarz Karol Wild wydaje książkę zbiorową dla dzieci pod napisem: *Wiązanka.* O ile z tytułu i pogłosek wnosić można, będzie to publikacja podobna zupełnie do warszawskich wydawnictw tego rodzaju. Niewiadomo, czy redakcja dorówna pod względem wartości artykułów warszawskim publikacjom, bo Lwów dotąd przynajmniéj nie może poszczycić się dobremi dziełami dla dzieci, i dobrymi pisarzami poświęcającemi pióro swe młodemu pokoleniu.

Przed kilku dniami pojawił się poemat Włodzimierza Zagórskiego, znanego zaszczytnie redaktora bardzo rozpowszechnionego w swoim czasie pisma humorystycznego: *Chochlik.* Poemat ten stanowi niejako pierwszą pieśń dłuższego poematu, któremu autor dał zbiorowy napis *Psalmy opamiętania.* Nie jestto utwór humorystyczny, lecz raczéj wierszowane wyznanie wiary politycznéj autora. Wdzięczna i elegancka forma jest zaletą nowego utworu p. Włodzimierza Zagórskiego.

Wobec tak skąpéj wiązanki nowin literackich, dziwacznie wyglądać będzie wiadomość o nowéj księgarni lwowskiéj, którą otworzył wydawca zwiniętéj Mrówki p. A. Bartoszewicz. Od kilku lat, właśnie w chwili powszechnego utyskiwania na ospałość wydawców i opinję publiczności do czytania, wzrasta we Lwowie niestosunkowo liczba księgarń. Obecnie mamy jnż pięć większych księgarń, obok tuzina pomniejszych zbiorów antykwarskich. Nowéj księgarni p. A. Bartoszewicza życzyć należy jak najlepszego powodzenia, bo przedsiębierca ten okazał przy wydawaniu Mrówki taką sumienność i niezmordowaną energię, że zasłużył sobie na szczere poparcie publiczności, która dała upaść Mrówce.

Br. Ł.

Przegląd literacki.

Powieści z 1001 Nocy dla młodzieży podług A. L Grimma z 4 rycinami.—Warszawa 1862 r.

Nim wzięliśmy tę książkę do ręki, długo medytowaliśmy nad tem, co może być wspólnego między dziwaczną, fantastyczną, dziś już zapomnianą pracą Galanda, a dziełem przeznaczonem dla nauki i zabawy młodzieży. Kiedy jeszcze powieść nie stała się tem, czem jest obecnie, *Tysiąc nocy i jedna* swoim kolorytem wschodnim, swoją cudownością, swojemi szalonemi pomysłami, niesłychane miały powodzenie, stały się prawie popularnemi, gdyż bądź co bądź streszczały one w sobie twórczą płodność poetów wschodnich, malowały tak uroczo świat zupełnie nam obcy, iż nic dziwnego, że niejeden lub niejedna brał je do ręki i po ciężkiéj pracy fizycznéj lub umysłowéj znajdował w niéj rozrywkę. Ale dziś, gdy powieść wzmógłszy się na siłach, rozszerzyła swoje ramy, odbijając jak w źwierciadle uczucia i myśli danéj epoki, i bądźmy sprawiedliwi, stała się jednym z czynników cywilizacyjnych takie bajeczki jak *Tysiąc nocy i Jedna* poszły w kąt, czytają je jeszcze chyba stare panny, nie umiejące się pogodzić z rzeczywistością, i te słabe istoty, co myśleć nie mogą, a radeby upoić się niedorzecznemi marzeniami. Wszystko ma swój czas, miały go więc Tysiąc nocy i Jedna i wszystkie czarodziejskie kreacye formą i treścią z niemi spokrewnione. Trudno więc nam pojąć, jak pióro widocznie zdolne, zająć się mogło niemi, aby je w przerobieniu ofiarować młodzieży. Czy dla tego, że starszym już się ta potrawa przejadła?

Jaki mógł mieć cel tłomacz i wydawca?

Na seryo nie podobna nam odpowiedzieć, a nie chcielibyśmy żartami zbywać zkąd inąd pracy sumiennéj i starannego wydania.

Z wielką zatem przykrością wyznać nam przychodzi, iż nie tylko żadnego celu w téj publikacyi nie widzimy, ma się rozumieć celu ze względu na dobro naszych dzieci, ale owszem uważamy ją za niemoralną i szkodliwą.

Zdanie nasze postaramy się poprzeć dowodami.

Chociaż Grimm przerabiając, rozwijając i uzupełniając pomysły Gallanda, usunął z powieści Tysiąca nocy i Jednéj wszystkie sceny miłosne i zbyt rażącéj zmysłowości, nie mógł przecież im odjąć wydatnego piętna *fatalizmu* który według nas niemoralniejszym jest od wszystkich umizgów cudownie pięknych księżniczek i geniuszów wszelkiego rodzaju. A fatalizmem nacechowane są prawie wszystkie powiastki, wchodzące do tego zbiorku. Zaraz na pierwszéj stronicy jedna z wprowadzonych osób jawnie to wypowiada: „Komu szczęście (a więc los, fatalizm, przeznaczenie) nie sprzyja, temu żadna pomoc pieniężna na nic się nie przyda; do kogo się zaś uśmiechnie, temu najdrobniejszy na pozór przypadek lepiéj może posłużyć od pieniężnego wsparcia, do osiągnięcia dobrobytu.“ Zapewne, że nie bezmyślna jałmużna może biedaka wyrwać z nędzy, ale pomoc w miłości i prawdzie udzielana, ale też nie los, o naszem szczęściu stanowi, ale my sami, praca i światło, energia i wytrwałość w obranym przedsięwzięciu. Zaszczepiać w młode umysły poleganie na przypadku, na losie, na nieuniknionem przeznaczeniu, jest występkiem względem naszego społeczeństwa, które i tak skore do opuszczenia rąk i zrażania się pierwszą lepszą przeszkodą, napotykaną na drodze życia. Jakie owoce przynosi fatalizm, najlepiéj to nam pokazuje nędza, ciemnota i fanatyzm ludów azyatyckich. Do tylu obłąkań swojskich mamyż jeszcze dodawać obce, a wstrętne zawsze czynnym ludom europejskim?

Przypuściwszy jednak, że téj niemoralności nie dostrzeże młody czytelnik w dziesięciu powiastkach wybranych z Tysiąca Nocy i Jedna; przypuściwszy, że dostrzegłszy nawet, nie przejmie się nią: to zawsze tego rodzaju narracye szkodliwie oddziaływają na umysł młodzieńczy, bo oduczają od *myślenia* a przyzwyczajają do *marzenia.* A nam niestety! na bezrozumnych marzycielach nie zbywało i nie zbywá, gdy ludzi myślących mamy tak mało!

Marzycielstwo, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością i twardemi jego wymogami, to także nasza choroba, mamyż ją jeszcze zwiększać? Marzenie, oparte na prostem kojarzeniu się pojęć, a raczéj na chaotycznem przechodzeniu z jednego pojęcia w drugie, powściągać raczéj, niż podniecać należy; toć cała przecież trudność pedagogiczna polega na tem, aby rozpierzchłe, zmieniające się co chwila pojęcia i wyobrażenia młodego umysłu uporządkować i do oznaczonego celu skierować. Czy też takiemi książkami jak *Tysiąc Nocy i Jedna* nie wyrządzamy szkody młodemu czytelnikowi, otumaniając do reszty jego rozkołysaną wyobraźnię, a tem samem paraliżując jego władze myślenia. Po przeczytaniu takiéj zaciekawiającéj książki, istotnie młody czytelnik spać będzie wybornie ukołysany cudownemi bajeczkami. Połowę byłoby-to biedy, żeby tylko potem nie chciał śnić na jawie. .. i przemarzyć całego życia.

W tem miejscu uważamy za właściwe maleńką zrobić uwagę, aby ktoś opacznie myśli naszych nie sądził. Marzenia, mającego swoje źródło w sercu, w świętéj miłości dobra, piękna i prawdy; marzenia, mogącego się objawić w słowie, w czynie, w życiu, nie należy mieszać z niedołężnem, na wpół sennem majaczeniem, do którego dają powód cierpienia fizyczne, słabość umysłowa lub bez wyboru i zastanowienia czytanie książek lekkiéj treści, które oprócz zaspokojenia podrażnionéj ciekawości nie mają żadnego celu.

Na nieszczęście i *Tysiąc Nocy i Jedna* nawet podług przerobienia, a raczéj naśladowania Grimma, do tego rodzaju publikacyi jesteśmy zniewoleni policzyć. Przebiegnijmy treść jéj, a przekonamy się o tem dowodnie.

Zbiorek cały mieści dziesięć powiastek. *Historya o Kogli Hassanie Alhabbala,* biednym powroźniku któremu nie praca, nie bogate dary, ale kawałek darowa-

nego ołowiu przyniósł zamożność i szczęście! *Historya o niewidomym Babie Abdalla* kupcu, który cudownym sposobem pozyskał ogromne bogactwa i cudownym sposobem utracił je wraz z wzrokiem za swoją chciwość. *Historya o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach* jawnie dowodzi, że jedna dziewczyna chytrością i przebiegłością przewyższyła doświadczonych zbójów. *Siedm podróży Sinbada żeglarza* wśród hojnie nagromadzonych niedorzeczności tę ma dobrą stronę, iż pokazuje, że wśród największego niebezpieczeństwa nie trzeba rozpaczać ale ratować się jąk można. *Historya o przeobrażonym Sido Numanie*, którego żona przemieniła w psa, a on ją potem w karego konia, wymierzywszy sobie z kolei porządną porcyę kijów itd. itd. Wszystkie dalsze powiastki w podobnym rodzaju, jedna od drugiéj ciekawsza i niedorzeczniejsza.

Mamy bajek, baśni, cudownych legend pod dostatkiem w naszéj literaturze, abyśmy potrzebowali je fabrykować na wzór perski czy arabski. *Bajarz* Glińskiego, jeśli koniecznie kto chce dzieci poczęstować tym przysmakiem, daleko jest właściwszym, stosowniejszym do zabawienia dzieci, bo i dykcyą swoją rytmiczną i kolorytem miejscowym pokazuje jawnie, że jest tylko bajarzem, jakiego lud nasz chętnie słucha.

W Tysiącu Nocy i jedna ciągle tylko mowa o brylantach, rubinach, szmaragdach, złocie, że w dziesiejszym wieku tak chciwym bogactw i użycia wszelkich rozkoszy, choćby na sposób wschodni, nie natchną one zapewne młodego czytelnika zamiłowaniem cichéj, skromnéj pracy, nie uzbroją jego młodéj duszy w tę prawdę, że nie złoto, wysokie stanowisko i zmysłowe rozkosze zapewniają nam możliwe szczęście, ale światło i zadowolenie wewnętrzne, gdy spełniamy naszą powinność.

O czysto estetycznym względzie nie ma co i mówić.

Wydawca pod względem pięknego papieru, starannego druku, poprawnéj ortografii, wywiązał się należycie ze swojego zadania.

J. P.

Józef Eötvös.

Europa mało bardzo wie o literaturze węgierskiéj. Język madziarski nie jest nigdzie znany tylko za Karpatami nad Cissą. Pisząc o Petoefim, najpopularniejszym poecie węgierskim, powiedziałem już, że Kertbeny przełożył celniejsze utwory poetyczne swojego kraju na język niemiecki i tym sposobem zapoznał Europę z węgierskiemi poetami. Słyszymy już w XVI wieku o jakimś Piotrze Illosvai, który w swoim poemacie *Holdi* opiewa krwawe i zawzięte walki z Turkami. Przy końcu XVIII wieku na czele nowego umysłowego ruchu stoją: dwaj bracia Aleksander i Karol Kisfaludy, oba wojskowi, oba dobrzy, drammatyczni pisarze; Michał Csoconai został poetą ludowym, Daniel Berszenyi sławny swoją odą do Węgier i Franciszek Kölesey tłómacz Homera. W XIX wieku, najwięcéj zasłynął Michał Vörösmarty, którego stawiają na równi z Wiktorem Hugo. Nad nimi wszystkiemi góruje Aleksander Petoefi. (*)

O pisarzach prozą niewyraźne tylko głosy dochodzą do nas, a musi ich być nie mało i potężnych, wnosząc z politycznych wypadków, jakie się w ostatnim wieku w Węgrzech dokonały. Wiemy jeszcze i to, że prawie wszyscy brali wielki udział w politycznych zawikłaniach swojéj ojczyzny, że prawie wszyscy byli niepospolitymi mężami stanu.

Jeden z takich autorów i wielkoradców, Józef Eötvös, umarł blisko rok temu. Całe Węgry okryły się żałobą po téj nieodżałowanéj stracie, a Niemcy szczerze go żałują bo był niezachwianym stronnikiem duchowéj uprawy i jedności Niemiec. Urodził się 3 Września 1813 r. w Ofen. Początkowe nauki i wychowanie najstaranniejsze odebrał w domu rodziców. Od r. 1825—1831 chodził na uniwersytet w Peszcie, na wydział filozoficzny i prawny. Zostawszy adwokatem pełnił te obowiązki tylko przez lat trzy, a potem zupełnie oddał się pracom literackim i autorstwa. Już dawniéj nieco przełożył na język węgierski, *Gotz'a von Berlickingen* Getego i napisał kilka komedji i jedną tragedję *Boszu*, która miała wielkie powodzenie. Ale uwagę publiczności zwrócił dopiero na siebie, prześlicznym romansem: *Kartuz*.

Powróciwszy z podróży odbytéj po Niemczech, Francji, Anglji i Szwajcarji, mając dopiero dwadzieścia pięć lat, ogłosił wyborną broszurę p. t. *Uwagi nad reformą więzień*, która wielki wpływ wywarła w Węgrzech na zmianę systematu więziennego i wywołała wielką ilość pism rozmaitéj treści.

Miał też wielki udział w sporze Kossuta z Szechenym, napisał w téj materji nową broszurę, która jasnością i siłą dowodzenia przewyższyła nawet nieodpartą dotąd dyalektykę Kossuta.

Nie długo potem ze swoim przyjacielem od lat dziecinnych Szatay, zaczął wydawać na sposób angielskich poglądów, perjodyczne pismo: „*Pesti Hirlop*" w którem rozbierane były jasno i głęboko wszystkie polityczne i socjalne zadania, tyczące się Węgier i wszystkich ludzi. Wszystkie swoje siły poświęcił Eötvös wydawnictwu tego przeglądu, a artykuły jego zamieszczone w nim, zawsze nacechowane wszechstronną wiedzą, głębokością poglądów i elegancją stylu wyszły w osobnéj książce noszącéj tytuł: „*Reforma*". Wszędzie i zawsze walczył odważnie za parlamentarną reformą rządu i za nowożytnym konstytucjalizmem. Duszą i ciałem był centralistą.

W tym samym roku 1844, pokazały się dwa jego romanse, które go dały poznać po zagranicami swojéj ojczyzny: pierwszy *Notarjusz wiejski*, przełożony na język polsk,—drugi Węgry w r. 1514. W pierwszym, bardzo zajmująco, maluje życie wiejskie Węgrów, w drugim opisuje owe wielkie powstanie chłopów i dowodzi, że obecny stosunek pana do chłopa utrzymać się długo nie może. Nie mówiąc nic o politycznem znaczeniu tych utworów, musimy im przyznać artystyczną wartość pod względem układu, prowadzenia akcji i porywającego stylu.

W r. 1848 od piśmiennictwa poszedł na drogę praktyki, czyli na drogę czynu, i został w pierwszem ministerjum węgierskiem ministrem oświecenia i wyznań. Niedługo w niem pozostał; wypadki szybko postępowały i przybierały rewolucyjny charakter: Deak, Szechenyi i Eötvös porzucili swoje teki ministerjalne. Zmuszony opuścić kraj, mieszkał naprzód w Szwajcarji a potem w Monachium, zwracając ciągle oczy na to co się dzieje w jego ojczyźnie, o czem świadczą różne pisma wydane w tym czasie, a zawsze zajmujące się bieżącymi kwestjami. Najważniejsze między niemi są: „*O równouprawnieniu narodowości w Austrji.*" *Wpływ przeważnych idei dziewiętnastego wieku na państwo.* W pierwszem z nich dowodzi, jako centralista, że z wszechstronnego zastosowania téj zasady, grozi Austrji widoczna zguba, przez co narobił sobie wielu zawziętych nieprzyjaciół i w Czechach;—w drugim usiłuje pokazać co to jest państwo, jaki jego cel i jak się idee wolności, równości i narodowości wzajemnie ograniczają.

W innem znowu piśmie p. t. *Gwarancja potęgi i jedności Austrji*, nastaje na ściśle związanie się Węgier z Austrją, a austryjackiemu państwu radzi, żeby stanęło na czele liberalnego ruchu w Niemczech, a będzie przez to samo stało na czele całych Niemiec. Ale jego życzenia nie spełniły się. Po wypadkach zaszłych w r. 1866. zwykł był mawiać natrząsając się: „Wszystkie moje pisma tyczące się Niemieckiéj kwestji związałem w jedną paczkę: a na niéj napisałem: *dokonane przez Bismarcka.*

Odtąd wszystkie swoje siły poświęcił dla przeprowadzenia ostatecznego porozumienia się z Austrją; w tym to celu przyjął znowu także ministerstwo oświecenia i wyznań. Ale nie miał potrzebnéj dla ministra energji, i łagodna i chwiejna jego natura, dawała łatwy przystęp i wpływ najrozmaitszego sposobu myślenia ludziom. Chociaż działania jego na tem stanowisku nie były tak skuteczne, jak sie po nim spodziewano, zawsze jednak życie jego było poświęconem dla szczęścia Węgier, słusznie też cały naród uczcił jego pamięć świetnym pogrzebem, a historja i literatura zapisze wyraźnie jego nazwisko na swoich kartach.

Michał Gliszczyński.

(*) Zobacz Tygodnik Mód z r. 1869. N. 22—25.

Od Redakcji.

W kwartale drugim r. b., Tygodnik Mód i Powieści pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami.—Po ukończeniu drukujących się Powieści rozpoczniemy druk oryginalnéj p. t. **Albina** studjum powieściowe z notatek autora ułożone przez Jana *Zacharjaśiewicza* i tłomaczonéj z niemieckiego p. t. **Bohater pióra** przez *E. Wernera*.

Prenumerata pozostaje ta sama a mianowicie kwartalnie.

w Warszawie Rs. 1 kop 50.

Na prowincyi z opłatą pocztową Rs. 2.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać *wcześnie wprost do Redakcyi* pod adresem, w każdym znajdującym się numerze.

Ponieważ żądania powtórnego przesyłania numerów, czy to nieodebranych, zagubionych lub zniszczonych znacznie się zwiększyły, że aż zmuszeni zostaliśmy odbijać większą liczbę egzemplarzy nad istotną tego potrzebę, co naturalnie powiększa koszta wydawnictwa, w przyszłości zatem te tylko numera przesyłać będziemy *bezpłatnie*, po które nastąpi zgłoszenie zaraz po nieodebraniu właściwego numeru, a otrzymaniu następnego. Do żądań zaś w innym dopełnionym czasie, prosimy dołączać w markach pocztowych należytość, za każdy numer wynoszącą kop 15, a przesyłka numerów natychmiast dopełnioną zostanie.

Przyjaciel Dzieci,

Pismo tygodniowe illustrowane dla dzieci od 5 do 14 lat wieku i w kwartale drugim r. b. wychodzić będzie pod temi samemi warunkami. Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama, a mianowicie:

Kwartalnie w Warszawie kop. 75.

Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową i ekspedycją rs. 1.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego Nru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Szczęsny stał milczący. Pytać się? no, juściż, kiedy zechcesz, zapytam, rzekł, ale będzie mi to badanie pokątne wstrętliwem. Czuję w nim uczciwego człowieka.. jeśli jest co, to się przyznać musi.

Elwira się zawahała, dreszcz jakiś przebiegł po niéj, drgnęła cała.

— Uczyń jak chcesz, jak lepiéj, to prawda! czekajmy, on nie skłamie. A jednak trawi mnie gorączka, jestem w niewysłowionéj obawie. Dziś znowu rzucił mi jakieś groźne słowo.

Dziadek nic nie odpowiedział, rozeszli się tak zasmuceni znowu. Rano wszakże stary pod jakimś pozorem wybrał się do miasta. W nocy rozmyślał długo i postanowił nie mówiąc nic wnuczce pójść nazajutrz do Lewisona. Pospieszył się tak, iż bankiera nie zastał, a że późniéj miał być na giełdzie, a dopiero ztamtąd wrócić do biura, trzeba było czekać do popołudnia.

Stary poszedł znajomych odwiedzić, kręcił się pod Lipami, zaglądał do wystaw sklepowych, dobił się godziny i powrócił do bankiera. Zastał go nad papierami.

— Kochany panie Lewison, rzekł, czy możesz mi dać....

— Co pan każe? wszystko.

— A! tylko pół godziny czasu na rozmowę?

Lewison wybiegł do przedpokoju i zakazał przyjmować, wrócił, posadził na kanapie dziadunia, sam siadł naprzeciw w krzesełku i rzekł:

— Do usług!

— Znasz pan pana Gabriela Pilawskiego?

— Doskonale, szczycę się jego przyjaźnią..

— Mam, mam pewne powody, począł spuszczając oczy dziadunio, dla których radbym o nim dokładniejszych zasięgnąć wiadomości.

— Nikt ich panu *en parfaite connaissance de cause* dać lepiéj nie może nade mnie, rzekł bankier znam jego, znałem ojca, byłem z niemi w stosunkach *Firma solide* co się zowie.

Dziadunio wziął to wyrażenie za niewłaściwe użycie przenośni.

— To mnie bardzo cieszy, odezwał się wesoło, bardzo cieszy.

— Pan Gabriel człowiek jakich rzadko, mówił Lewison, wychowany jak królewicz, utalentowany, rozumny, uczciwy, a jaki znawca sztuki! co za smak artystyczny. Przytem co to za powierzchowność miła, jakie obejście pańskie, a co za serce złote.

— Niechże cię uścisnę, kochany panie Lewison, krzyknął dziadunio podnosząc ręce do góry, zdjąłeś mi ogromny ciężar z serca.

— Bardzo się cieszę, jestem jego przyjacielem..

— A, a majątkowe jego stosunki? ciszéj z obowiązku sumienia szepnął dziadunio, nastawiając ucha ciekawie.

— Liczą go, między nami mówiąc, pewnie bez przesady, rzekł bankier, na przeszło parę kroć sto tysięcy talarów, ale człek młody, obrotny, w dorobku zrobi niechybnie majątek kolosalny.. Powiadam panu, *firma* co się zowie *solide.*

— A familja? zapytał dziadunio.

— Nie ma zdaje się z familji nikogo, rzekł Lewison. Ojciec umarł, rodzeństwa o ile wiem, nie ma..

— Wszystko więc jak najlepiéj się składa, uśmiechnął się dziadunio.

— Ma wielką przyszłość, dodał bankier, pracowity, obrotny i o ile wiem, w tym rodzaju to dom pierwszy i jedyny w Warszawie, konkurencja niemożliwa..

— Jakto! dom? co za dom? jaka konkurencja.. wyjąknął zdziwiony staruszek powstając.

— A no to Human warszawski! wykrzyknął Lewison, mógłby nawet w Paryżu iść z tamtym o lepsze.

— Hę? spytał stary, który się nic nie domyślał, bo o Humanie jak żyw nie słyszał.

— Jeszcze ojciec firmę tak wysoko postawił, a pan Gabriel ją podniósł jeszcze.

— Fi, fi, firmę! zawołał stary oczy otwierając szeroko, ale jakaż to firma?

— Pierwszy krawiec i handel sukna na cały kraj..

Szczęsny osłupiał, kij mu wypadł z rąk, a on sam osunął się na kanapkę..

— Jakto? czyż pan nie wiedziałeś o tem?

— Ja? o tem, że on, krawiec!.. krawiec, bąkał dziadunio, ale mi się nie śniło. Myśmy go mieli za obywatela.

Lewison ruszył ramionami jakoś niecierpliwie.

— Cóż pan chce? każdy jest obywatelem kraju po swojemu, po swojemu! Ale człek bardzo godny.

Dziadunio nie odezwał się więcéj, począł szukać kapelusza, obejrzał się i pożegnawszy z Lewisonem wymknął za drzwi. Na ulicę wyszedłszy, stał długo niewiedząc co począć.

— A! niechże go wszyscy djabli wezmą! szepnął po cichu, otóż mi śliczna rzecz.. To mi śliczna rzecz.. Zuzia była modystką, a córka by wyszła za krawca.. Tego tylko brakowało.. Ale to nie może być, protestuję, niepodobieństwo!.. Smieszność! Nawet gdyby nożyce porzucił to mu się w herbie zostaną. Sliczny interes! Krawiec.. A niech go djabli biorą!.. I wkręcił się tak do domu i milczał i nic nie było wiadomo! A! rozumiem że zagadkę z tego robił, bo mu rzemiosło przez gardło przejść niemogło! Elwira! żona krawca! krawcowa! To wprost niepodobieństwo.. Gdyby nawet była zakochana, będzie mieć tyle rozumu że sobie to wybije z głowy.

Jak jej to powiedzieć? Ona padnie i zemdleje.. Jeszcze go wstrzymała i pewnie dziś przyjdzie, niech by był sobie po korty jechał do Londynu. Tak to człowiek nigdy nie wie, kiedy nań piorun spadnie.

I mrucząc powlókł się stary do willi, a doszedłszy do furtki wkradł się po cichu i wsunąwszy do swego pokoiku, zafrasowany sam na sam pozostał.

Z rana Pilawski nie przyszedł, dziadunio wszakże przewidywał go na wieczór i sam nie wiedział co począć z Elwirą. Radby był jéj zdobytą wiadomość co najprędzéj udzielić, a nie śmiał, dorozumiewał się jak będzie bolesną. Poproszono go na obiad, panie były same. Elwira uśmiechnięta wyszła do niego z kwiatkiem w ręku, wesoła, a zobaczywszy chmurną jak nigdy twarz zatrwożyła się. Co to dziaduniowi?

— Nic, tylkom tak, trochę nie zdrów, zwyczajnie stary, zachciałaś, rzekł zamykając w sobie smutek pan Szczęsny.

— Nie był dziadek u Levisona?

Spojrzał na nią wielkiemi oczyma i skłamał nader zręcznie. A! u Levisona! Zapomniałem! przepraszam, nic pilnego.

Elwirze o to tylko chodziło, aby ów smutek nie z bióra Levisona pochodził. Troskliwie zajęła się dziaduniem wnosząc, że może by zgotować co trzeba.

— Ale nie, jako żywo głowa mi cięży, bronił się stary, nie troszczcie się o mnie.

A w duchu powtarzał sobie: Jak ja jéj to powiem i kiedy?

Siadając do stołu, przyszła mu myśl jowialna, pojechać do Pilawskiego i z nim się we cztery oczy rozmówić. Zdało mu się z razu, iż to było najprostszym sposobem ukończenia z nim, jednak po chwili znowu przekonał się, iż, bez poprzedniéj rozmowy z Elwirą, do niczegoby to nie prowadziło. Był wprawdzie pewien że wnuczka krawczyka przepędzi, lecz, zawsze należało jéj powiedzieć kto on był. Na to się dziadunio zebrać w żaden sposób nie mógł i gniewał się na siebie. Elwira starała się go swą wesołością rozbawić, ale ta go drażniła jeszcze więcéj. Obiad podano powoli. P. Sciańska której oka nic nie uszło przypatrywała się staremu i przeczuwała, że coś ciężkiego miał na ramionach.

W powietrzu czuć było nawałnicę.

Przeszli do salonu, podano kawę czarną. Dziadek, który zwykle trzymał się prosto i był rzeźwy, dziś nogami powłóczył, zgarbił się, zgrzybiał nagle. Przy kawie dopiero nieco się rozgadał o przeszłości i z godzinę prawił jak to dawniéj inaczéj bywało. Wzdychał, narzekał, a najwięcéj fukał na ludzi, iż wszyscy ze swego stanu by wyjść chcieli i radzi by udawać innych niżeli są. Na te kwaśne wykrzykniki dziadunia właśnie lokaj oznajmił pana Pilawskiego. Elwira kazała prosić, Sciańska spojrzała na dziadunia i odkryła odrazu, iż jego zły humor był w jakimś związku z gościem. Mimowoli brwi mu się ściągnęły, warga dolna opadła i ukośne wejrzenie skierowało się ku drzwiom. Pilawski wszedł poważny, prawie smutny i nader skromny. Dziadunio wstał by go przywitać, ale nosa ucierał tak zręcznie że już ręki nie podał. Czemubym jéj nie miał dać, rzekł w sobie, takiemu krawcowi co by ze swem rzemiosłem się nie tając porządny mi surdut uszył, ale temu co się kryjąc z kwalifikacją wnuczkę mi bałamuci, nie doczekanie.

Rozmowa jak wczora zaczęła się wielce rozumna, kipiąca i szumująca dowcipem. Dziadek w niéj prawie nie miał udziału, ale słuchając jéj w głowie mu się mięszało. Krawiec bowiem gadał tak, jakby nigdy nożyc innych oprócz tych któremi papier krają nie trzymał.

— Prawda, mówił sobie p. Szczęsny, że odebrał wychowanie znakomite, i nie winien pewnie iż się urodził synem krawca, że skromny i przyzwoity, ale niech go djabli porwą, krawiec! no! krawiec i kwita!. Gdyby Elwirka wiedziała o tem, słowa by do niego nic potrafiła wyrzec, a tak z sobą emablują... Jestem pewny, że ta bestja wie już, iż sama Domska także z nożyczkami miała do czynienia i z igłą, a to go ośmiela.. Niech go kroć, boć ma rację.. ma rację. I jak mi się odetnie w ten sposób gębę mi zamknie, nie ma co mówić.

Dziadunio aż wstał, krew mu biła do głowy, począł chodzić po salonie. — Co tu robić, co tu robić!

Jak na złość, Elwira była wesołą, śmiała się, wyprowadzić potrafiła Pilawskiego z jego zadumy, zagrała na fortepianie, potem przepatrywano Albumy. Dziadek się przysłuchiwał rozmowie. Jeden właśnie z tych zbiorów zawierał szkice nowożytnych malarzy do słynniejszych obrazów. Zaczęto rozprawiać o artystach. Pilawski, mówiąc o tem, nie umiał być zimnym. Wygadał się ile oryginalnych kompozycji ma u siebie i jakie.

— Ah, to pan masz tak cenny gabinet? zapytała Elwira.

— Jest to jedyny zbytek, którego się dopuszczam, odpowiedział Pilawski.

— Patrzcie, szepnął dziadek, krawiec ma galerję obrazów, otóż to czasy! Gdy o tem mówi, kogożby nie zbałamucił? Można sądzić, że udzielne książątko.

I strasznie zakwaszony chodził znowu ręce w tył założywszy. Z rozmowy okazywało się oprócz tego, że ma bibliotekę, że ma piękne i rzadkie kwiaty. Wszystko to do ostatniej niecierpliwości doprowadziło pana Szczęsnego. A że poufałość rosła niezmiernie między młodemi ludźmi, i już tego wieczoru postęp był bardzo widoczny, Szczęsny powiedział sobie, że tu już nie ma co zwłóczyć i gordyjski węzeł nożycami krawieckiemi przeciąć co najprędzéj należy. Czekał tylko, aby po herbacie odszedł sobie p. Gabriel i tegoż wieczora postanowił otwarcie rozmówić się z wnuczką. Pilawski widział zły humor starego i trwoga go ogarniała, ale spodziewał się i tak prędzéj czy późniéj katastrofy.

Po herbacie Elwira grała drobne noveletty i fantazyjki Schumanna, jedną ze scen leśnych, potem kawałek Karnawału Wiedeńskiego, przyszli na stół Schumann, Chopin, Schubert, zabawiło to do późna. Szczęsny tylko chrząkał i pokaszliwał, aby im rzeczywistość przypomnieć. Pożegnał na ostatek chłodno odchodzącego, a sam spiesznie do salonu wrócił. Pani Sciańska, jakby przeczuwając coś wyszła, chociaż nie daléj jak w sąsiedztwo drzwi drugiego pokoju.

— Coś dziadunio mi dziś, gdy ja jestem tak wesoła, tak szczęśliwa, wcale nie dopisał.

Stary ruszył ramionami.

— Zachciałaś, rzekł, starzy mają swe widzimisia.

— Czyż Gabriel się nie podobał?

Stary poprawił dobitnie. — Pan Pilawski?

— Tak, uśmiechając się powtórzyła wnuczka, pan Pilawski.

— Pan Pilawski na wejrzenie każdemu się podoba, to nie ulega wątpliwości, ozwał się dziadek, ale....

— Jest... ale...

— Jest! stanowczo rzekł dziadek.

Elwira zbladła przystąpiła do niego. Stary był poważny, chłodny i myślał: Muszę ją przygotować, bo gotowa mdleć.

— Naprzód, odezwał się, siądź, moja droga, spokojnie, pięknie, a potem zwolna się rozmówimy.

Nie domówił tych wyrazów, gdy Elwira pochwyciła go za obie ręce. — Dziadku, serce, nie męcz mnie za dziecko, nie złoć mi pigułki, nie zaprawiaj lekarstwa, mów otwarcie.

— Będę mówił, otwarcie, ale...

— Byłeś u Levisona?

— Byłem, rzekł stary, jeszcze z rana.

— Cóż on powiada?

— Że go zna, że znał ojca jego, że człowiek zacny uczciwy, dobrze wychowany, bardzo majętny i jego osobisty przyjaciel.

Dziadek ruszył ramionami: — Ale przyjaciel Levisona, to jeszcze nie wielka rzecz.

— I cóż może być przeciwko niemu! łamiąc ręce zawołała Elwira. — Jeśli uczciwy, rozumny i majętny, co, na Boga, nie rozumiem... nie pojmuję! Czy zabił kogo?

— Nie, ale prawie gorzéj, niżby on kogo zabił, bo on sam zabity na wieki wieków.

— W jaki sposób? Mówże, zlituj się.

P. Szczęsny tarł włosy, ruszał ramionami, zżymał się, stanowcze słowo owe przez usta mu przejść nie mogło. Obawiał się, wstrzymywał, dławił niem. Ilekroć spojrzał na tę królewską postać swéj Elwiry, a predykat, krawiec, żenił się w jego wyobraźni z tym ideałem, tracił przytomność. Jak jéj to powiedzieć. Milczał.

— Dziadku, na miłość Bożą, niech wiem, co mnie czeka, błagała Elwira, niech wiem, nic okropniejszego nad niepewność! Głowę tracę. Możeż być splamionym, niegodnym mnie.

— Jak ja ci to powiem... jest to... jest to *trywialnie tragiczne* rozwiązanie, wyjąknął dziadek ocierając pot z czoła, *tragicznie trywialne*...

Elwira bladła.

— Dziej się wola Boża, zawołał spojrzawszy na nią stary, twój Pilawski jest *krawiec*!

Wnuczka zrazu nie zrozumiała.

— Jakto, krawiec? spytała. Co to ma znaczyć?

— Jest bogaty krawiec, krawiec! powtórzył dziadek.

— Przyjaciel hrabiego Ernesta! wykrzyknęła Elwira, to nie może być! Hrabia Ernest dla niego tu przyjeżdżał, sam mi się dziś do tego przyznał.

— Takich hrabiów teraz mnóstwo, co dla tonu całują się z krawcami. Czas mamy taki! Ale nie mniéj jest to krawiec.

Spojrzał na Elwirę, która stała blada, milcząca głowa jéj zwolna, jak więdniejący kwiatek, schylała się na pierś, ręce się zeszły i konwulsyjnie ściągnęły, nie mówiąc słowa, poczęła przechadzać się po pokoju zadumana, przybita. Dziadek chciał jéj dać saméj ból ten przetrawić w sobie, nie odzywał się także. Nabstatek, nie mogąc się doczekać, by przemówiła, ozwał się już sam do niéj.

— Cóż ty na to?

— Krawiec! śmiejąc się dziko, dziwnie, ironicznie zawołała Elwira, krawiec! Fatalność, przeznaczenie, szyderstwo doli nade mną.

— Czynię tylko tę uwagę, rzekł dziadek, że naprzód jeszcze ci nie zapomniano, iż jesteś córką modystki, pójdziesz za krawca, toś skazana żyć między naparstkami, i nic więcéj. Elwira milczała chodząc.

— Cóż ty na to? poczekawszy rzekł stary.

Ruszyła ramionami i powtórzyła z rodzajem bolesnéj skargi: krawiec..

A potem chodziła znowu.

Dziadek zmiarkował wreście, że stanowczą rolę on powinien był odegrać, że Elwira walczyła z sobą.

— Mnie się zdaje, rzekł spoglądając na zegarek, że gdybyśmy nocnym pociągiem wyjechali gdziekolwiek bądź, wszystko jedno dokąd, byle ruszyć z Berlina, to by było najlepiéj.

Wnuczka nie mówiła nic, milczenie było wymowne, upokorzona, z sercem ścisniętem płakała.

— Powiem pani Sciańskiéj, żeby maleńki kuferek upakowała, ona tu może zostać, a my się przejedziemy nad Ren, czy do Ems, na parę tygodni. Powietrze zdrowe.

(d. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

Straszliwe przekleństwo wybiegło z ust Carkera, zerwał się na równe nogi. Edyta zbliżyła do piersi rękę i wyciągnęła z pod stanika małą dwururną krucicę. Carker został w miejscu, Edyta spojrzała na niego ze wzgardą i mówiła daléj:

— Jeśli kiedy zapomnę, co ucierpiałam gdy usta twoje śmiały przed chwilą dotknąć mojego czoła, jeśli zapomnę czego doznałam wtedy gdy zgodziwszy się na ucieczkę z tobą, spotkałam to niewinne dziewczę, którego uścisk musiałam odepchnąć, wtenczas może stanę się inną kobietą. Patrzaj! dodała pokazując Carkerowi papiery, które w ręku trzymała, oto listy które od ciebie odbierałam. Ani jednego nie otworzyłam, możesz wziąść je napowrót.

Zmięła je w ręku pogardliwie i rzuciła mu pod nogi.

— Edyto, zawołał groźnie Carker, zakończ wreszcie tę warjacką scenę. Cóż za szatan cię dziś opętał?...

— Wszystkie piekieł szatany we mnie zamieszkały! odrzekła patrząc na niego wzrokiem zaiskrzonym. Nie byłże im wygodnem siedliskiem ów dom, którym rządziły pycha i przewrotność, w twojéj i twego pana osobie?

Usta Carkera zadrżały, zimny pot zwilżył jego czoło i widać było że traci cierpliwość, że lada chwila a rzuci się na tę co go bez żadnéj litości tak długo bezcześciła. Jedna chwila niemocy a zguba Edyty była pewną, ale ona baczna na najmniejsze poruszenie Carkera, silna i niewzruszona jak opoka, stała nie spuszczając go z oczu.

— Ależ nie możemy przecie tak się rozstać, rzekł po chwili. Siadaj Edyto i pomówmy z sobą spokojnie.

— A gdyby też, rzekł wyszczerzając zęby, wszystko w żart obrócić, nawet podróż naszą, cobyś na to powiedziała?

— Że zapóźno, że stokroć razy zapóźno! odrzekła Edyta. Nie darmo obrzuciłam błotem moje imię, nie na darmo tu przybyłam i dozwoliłam widzieć ci się ze mną.

Carker za przewagę nad Edytą, za zmuszenie jéj do wszelkiéj dla siebie powolności, byłby się nie cofnął przed żadną ofiarą, tak nienawiść i chęć zemsty zawładnęła nim całym, ale dość mu było spojrzeć na kobietę przed nim stojącą, aby zrozumieć, że na wszystko odważyć się mogła. Patrząc na rękę którą trzymała przy kolbie krucicy, pomyślał że gdyby nawet chybiła strzelając do niego, z pewnością potrafiłaby siebie zabić.

Nie probował zatem zbliżyć się do niéj, tylko poszedłszy ku drzwiom wchodowym, zamknął je i klucz z nich wyjął.

— Jeszcze ci jedną udzielę wiadomość, odezwała się Edyta, że to ci się przytrafiło, co spotyka zwykle zdrajców, oto zostałeś zdradzony, wyśledzony, że tu jesteś lub że masz tu przybyć. Dziś wieczorem widziałam powóz mojego męża na ulicy.

— Powóz Dombeya! — krzyknął rozpaczliwie Carker. Kłamiesz szatanie! kłamiesz nędznico!.

W téj chwili silny odgłos dzwonka dał się słyszeć u drzwi sieni. Carker pobladł, widząc Edytę podnoszącą rękę jak gdyby mocą zaklęcia ów dźwięk wywołała.

— Czy słyszysz? zapytała z zupełną spokojnością, to po ciebie nędzniku! Po ciebie służalcze abyś zdał obrachunek z kłamstwa całego twego życia.

Carker lękając sie ucieczki Edyty, postąpił ku drzwiom wchodowym i oparł się o nie silnie plecami. Ale Edyta rzuciwszy się z szybkością pantery w przeciwną stronę, wpadła do sąsiedniego pokoju i drzwi za sobą zamknęła.

Od chwili w której wzrok jéj przestał ciężyć na nim, odzyskał straconą odwagę i sądząc, że Edyta pod wpływem przestrachu nagle wybiegła z pokoju, otworzył drzwi i poszedł za nią.

Ale w sypialnym pokoju nie było nikogo.

Tymczasem nie przestawano stukać i dzwonić ale już do drzwi przedpokoju. Carker zaprzestając na chwilę poszukiwań, nasłuchiwał z uwagą. Kilka osób rozmawiało z sobą, w części po francuzku, w części po angielsku, głos odzywający się w tym ostatnim języku, nadto był mu znany aby go od innych zaraz nie rozróżnił.

Carker wziął znowu świecę i przeszedł spiesznie przez wszystkie pokoje w sypialni, dostrzegł kryte drzwi wiodące do drugich schodów na klucz zamknięte, i kawałek koronki z ubrania Edyty tkwił w nich przycięty.

Carker nie był tchórzem, jednakże myśl, iż czyn którego się dopuścił, nie tylko nie przyniósł mu żadnéj korzyści, ale narażał na ogromną awanturę, a może i śmierć niechybną, myśl że człowiek którego zaufanie tak niegodnie zawiódł, był tuż obok i za chwilę miał się o krzywdę swą dopominać, odjęła mu zwykłą zimną krew i wprawiła w szaloną niemal trwogę. Pchnął silnie kryte drzwi, ale nie mógł ich wyłamać, otworzył okno wychodzące na dziedziniec, ale niepodobna było nawet probować skoku z takiéj wysokości.

Dzwonienie nie ustawało, każda chwila zwiększała przerażenie Carkera; rozpaczliwym wysileniem, wyłamał wreszcie zamek u skrytych drzwi i porwawszy za kapelusz, wypadł na schody, a ztamtąd na ulicę.

Przez czas jakiś biegł prawie bezprzytomny; wreszcie chłód nocy orzeźwił mu umysł, i jakkolwiek trwoga jego się zmniejszyła, znalazł przecież się w możności pomyślenia o tem co mu nadal zrobić wypadało. Pobyt w obcych krajach, zdawał mu się rzeczą mało bezpieczną, tem mniej mu wypadało szukać schronienia we Włoszech lub w Sycylji, gdzie lada chwila ręka najemna mogła na nim dzieło pomsty dopełnić. Wszystko to zatem rozważywszy, postanowił wrócić do Anglji.

— W każdym razie, pomyślał, będę tam pewniejszy życia niż gdzieindziéj. Jeśli zaś mam zginąć, niech nie ginę jak pies zabłąkany, ale tam gdzie mi chociaż nie zabraknie pomocy ani porady.

Mrucząc tak po kilka razy wyrzekł imię Edyty z wyrazem groźby i przekleństwa; czasem idąc, zdawał się szukać jéj w około siebie. Wreszcie doszedł do drzwi jakiegoś hotelu; wszyscy tam spali, ale silne zadzwonienie zbudziło odźwiernego. Na żądanie Carkera wynaleziono mu wkrótce powóz i posłano po konie pocztowe. W kilka minut później, powóz toczył się szybkim pędem, unosząc coraz daléj Carkera, ale nowa trwoga niebawem w nim powstała. Zdawało mu się koniecznie, że słyszy za sobą turkot drugiego ścigającego go powozu; turkot ten zbliżał się coraz bardziéj. W końcu złudzenie to stało się tak zupełnem, że kazał pocztyljonowi stanąć, przekładając niejaką stratę czasu nad ową dręczącą niepewność.

— Słuchaj no — kto za nami jedzie? zapytał.

— Któż ma jechać? odrzekł pocztyljon spoglądając po za siebie, przecie widzę droga pusta, nie tylko nie widać jadącego ale nawet piechotą idącego.

— Ależ przecie wyraźnie słyszę turkot.

— Ej! to się panu zdaje, mruknął pocztyljon i popędził konie w dalszą drogę.

Wsie, miasta lasy cieniste i pól łany, hałas uliczny i gwary miasta portowego, wszystko to pojawiło się błyskawicą przed jego oczami. Wreszcie wszedł na pokład okrętu, fala pluska, koła warczą; w dali zaczyna majaczyć pas jakiś szarawy, potem stopniowo wyrastają z niego maszty, wieże, drzewa i domy... Okręt zarzuca kotwicę przy wybrzeżu, na którem mnóstwo ludzi wyczekuje powrotu krewnych, przyjaciół... Carker przeszedł szybko pomiędzy niemi znacznie uspokojony, bo stanął już na angielskiéj ziemi.

— Tu fraszka, mówi sobie w myśli, tu w każdym wypadku, dam sobie radę, jestem tak jak w domu.

Przybywszy na miejsce, obejrzał starannie hotel i znalazł go takim jak mu go opisano. Był to budynek całkiem odosobniony, około przystanku nie było wsi ani miasteczka; słowem można tam było zatrzymać się bez żadnéj obawy. Carker wszedł do hotelu i zamówił dwa pokoje od tyłu.

Chciał nieco odpocząć ale nie podobna mu było zasnąć. Czarne oczy Edyty wciąż w nim tkwiły, pełne gniewu i pogardy, albo złowrogie spojrzenie Dombeya, lub wreszcie sam siebie widział uciekającego przez lasy i pola, lądem i morzem, ogłuszonego turkotem kół i odgłosem dzwonków koni pocztowych.

Napróżno po obiedzie wychylał kieliszek po kieliszku, i ten środek nie przyniósł mu snu ani zapomnienia, a strach, bojaźń, wyrzuty sumienia jeszcze się bardziéj spotęgowały.

Nie miał nawet pojęcia ile czasu tak pozostał, ale zapewne upłynęło go dosyć, bo światło już wniesiono do pokoju, kiedy znagła obudzony, jakby ze snu, powstał z miejsca. Był to głuchy jakiś tentent, jakby podziemne warczenie burzy.

To pociąg przechodził. Carker patrzał nań z okna nie mogąc jeszcze pokonać pierwszego wrażenia trwogi, i czując że go jakaś siła ciągnęła w stronę posuwającego się pociągu. Wyszedł i począł się przechadzać po nasypce, przypatrując się mostom sygnałom, latarniom, i zapytując siebie, kiedy drugi pociąg nadejdzie.

W tem świst daleki doszedł jego ucha i znowu ziemia zadrżała; czerwone jakieś światło, zbliżając się z przerażającą szybkością, zmieniło się niebawem w dwoje krwawych oczu, w paszczę ziejącą płomieniem i płonącym żarem; ciemny jakiś potwór przeleciał z jękiem......... to drugi pociąg pobiegł w ślad pierwszego.

Carker czekał dopóki inny pociąg nie zatrzymał się na przystanku, wtedy począł przypatrywać się z uwagą lokomotywie, zastanawiając się nad ogromem siły jaką mieściły w sobie te potężne koła i nagle krew uderzała mu do głowy, wzdrygnął się....

W obłędzie zdało mu się, że te żelazne obręcze, nagle go schwyciły druzgocząc z całą wściekłością swéj zdumiewającéj mocy.

Do reszty osłabiony i zaniepokojony tem ostatniem przywidzeniem, do tego czując się słabym od nadmiaru wypitego wina, wrócił późno już w nocy do hotelu.

— O któréj godzinie mówiłeś mi że mam odjechać? spytał czekającego nań ze światłem służącego.

— O kwadrans na piątą, proszę pana. Kurjerski pociąg przechodzi o czwartéj, ale się na przystanku nie zatrzymuje.

Carker potarł ręką czoło rozpalone i spojrzał na zegarek; było już prawie w pół do czwartéj.

— Tylko pan jeden odjeżdża tym pociągiem, rzekł służący. Mamy tu dwóch podróżnych, ale czekają na pociąg idący do Londynu.

— Mówiłeś że ja jedynym jestem waszym gościem, odezwał się Carker z pewnym niepokojem.

— W saméj rzeczy, nie było nikogo; ci panowie przyjechali już w nocy.

Wstał z łóżka na wpół ubrany, zaraz po odejściu służącego, i stanął w oknie. Szarawe światło brzasku już noc zastąpiło, niebawem od strony wschodu, niebo czerwienieć poczęło. Carker obmył twarz zimną wodą, pragnąc ochłodzić się i ubrawszy się na prędce, wyszedł z hotelu.

Chłodna rosa poranku przejęła go dreszczem. Popatrzywszy przez chwilę na miejsce po którem przechadzał się w nocy, zwrócił się w stronę wschodzącego słońca i patrzył jak występowało po nad widnokrąg, w całym blasku swego majestatu.

Być może iż w téj chwili ciszy uroczystéj, człowiek ów zrozumiał co ma za znaczenie wyraz cnota, zacność, szlachetność i być może iż wtedy wspomniał po raz pierwszy brata, z uczuciem czułości i żalu!

Kupiwszy bilet Carker przechadzał się po drodze tam i napowrót, goniąc wzrokiem kierunek szyn, ginących w czarnéj paszczy podziemnego sklepienia; kiedy w tem, zwracając się koło baryery stanowiącéj kres jego przechadzki, spostrzegł przed sobą... Dombeya.

Oczy tych dwóch ludzi spotkały się z sobą jak dwa tygrysy, co wkrótce mają rzucić się w śmiertelną walkę. W pierwszéj chwili trwogi i zdumienia Carker rzucił się w tył tak szybko, że aż potknął się i upadł. Ale podniósł się zaraz i cofając o parę kroków, stanął na szynach, pragnąc choć o parę kroków oddalić się od Dombeya, w którego patrzył osłupiałym okiem przerażenia.

W tem dał się słyszeć świst.... zaraz potem drugi. Carker uczuł ziemię drżącą jakby pod przemocą wstrząsającéj nią siły... chciał krzyknąć, poruszyć się ale i język i oczy odmówiły posłuszeństwa..... widział tylko Dombeya..... jego oczy pałające wściekłością obrażonéj pychy..... krew rzuciła mu się do głowy..... krwawe jakieś płomienie niby oczy widziadła śmierci zaświeciły mu tuż obok niego, i w téj saméj chwili został porwany, wywrócony, i podarty w szmaty rozlatujące się w około.... Kurjerski pociąg przeleciał przez przystanek jak burza, turkot zmniejszał się, przycichał a gdy zginął w przestrzeni, Dombey przerażony, zaledwie mogąc zrozumieć okropną scenę jakiéj był świadkiem, spostrzegł w oddali czterech ludzi dźwigających jakiś ciężar położony na noszach i przykryty płachtą, a dwóch zasypujących popiołem strugi krwi rozlanéj na szynach i pokładach.

XVI.

Podczas gdy los tak niespodziewanie przecina złocisty wątek domowego pożycia Dombeya, cóż się tymczasem działo z biedną Florą, wygnaną w chwili rozbicia ojcowskiego domu, nie mającéj już rodziny, ani przytułku?

Walter Gay ocalił życie w rozbiciu okrętu na którym płynął ku Barbadom. W chwili gdy tracąc już siły, sam nie wątpił o swéj zgubie, i zaledwie trzymał się deski unoszącéj go na falach otchłani morskiéj, dostrzeżono go z okrętu kupieckiego znajdującego się w pobliżu. Tam znalazł wszelkie starania jakich stan jego wymagał; przy pomocy sił młodzieńczych, wkrótce przyszedł do siebie, ale okręt na którym się znajdował płynął aż na Ocean spokojny. Walter miał nadzieję dostania się do pierwotnego celu swéj podróży, a nie zdarzało się jakoś napotkać okrętu płynącego w tym kierunku. Tymczasem, im się bardziéj zastanawiał nad przyszłością jaką mu gotowała opieka Dombeya, tem się mocniéj utwierdzał w przekonaniu, że zamykał sobie drogę do lepszéj przyszłości, udając się tam gdzie go wysłano. Skoro więc zdarzyło się iż komissant

okrętu na którym znajdował się Walter umarł w czasie podróży, młody Gay nieodmówił przyjęcia jego posady, tak ze względu korzyści jakie mu zapewniała, jak i z trudności dostania się na Barbady. Przekonany z resztą, iż za odebraniem wiadomości o rozbiciu się *Syna i Spadkobiercy*, wysłano tam kogo innego na jego miejsce, poprzestał na napisaniu na ręce kapitana Cuttle, listu do wuja lękając się sprawić temu ostatniemu zbyt silnego wrażenia, odzywając się wprost do niego. Ostrożność ta sprawiła iż list Waltera nie doszedł do pomieszkania drewnianego miczmana; gdy go bowiem odniesiono według adresu, pani Mac-Stinger, znajdująca się właśnie wtedy w najwyższym stopniu oburzenia przeciw zbiegłemu z jéj domu kapitanowi, poprzysięgła iż niegodziwiec ów nie pierwéj odbierze to pismo, aż potrafi zasłużyć na jéj przebaczenie. Pismo Waltera spoczywało tedy spokojnie w szufladzie w domu, żółknąc coraz bardziéj z postępem czasu, a dwie późniejsze odezwy młodzieńca temuż samemu uległy losowi.

Ostatnia z nich wszelako, nie wiele już wyprzedziła jego powrót. Pewnego dnia Walter pojawił się w sklepie starego Sola. Wyrósł był i zmężniał znacznie, i był to już mężczyzna w całem znaczeniu tego wyrazu. Twarz jego nosiła piętno poważnych myśli, napełniających jego umysł i serce, ale serce to w niczem się nie zmieniło, choć dziś Walter posiadał dzięki swéj pracy i zdolnościom wcale korzystne i niezależne stanowisko. Od pewnego bowiem czasu, dość znaczny udział w handlowych obrotach okrętu na którym zajmował posadę, był mu zapewniony.

Wrażenia jakich doznał młodzieniec na widok drewnianego miczmana i wiernego jego opiekuna, nie dadzą się opisać. A jednak najżywsze z nich i najmniéj spodziewane czekało go jeszcze. Tam, w izdebce od tyłu, gdzie oczy jego szukały starego wuja, kogoż to ujrzał w jego miejscu? Tak, to była Flora, Flora która w sieroctwie swojem, nie wiedząc gdzie szukać przytułku, pomyślała o poczciwym kapitanie, o starym przyjacielu Sola, i pod jego opiekę się oddała.

Jak się to stało, że bez trwogi ujrzała w pełni życia przed sobą tego, którego od tak dawna opłakiwała? Gdy się nad tem później zastanawiała, sama nie umiała sobie tego wytłomaczyć. Radość z jaką powitała Waltera, taką tchnęła swobodą, jakby w niéj zdziwienie prawie nie miało udziału, jakby się bezwiednie codzień spodziewała powrotu tego kochanego brata, oprócz którego nic już nie posiadała na świecie.

Ale jeśli niewinność Flory nie dawała jéj dotąd rozpoznać jakiem uczuciem kochała Waltera, on w zamian od dawna już umiał lepiéj we własnem sercu się rozpatrzeć. Utraciwszy zupełnie poprzednie złudzenia, począł niebawem wymawiać sobie kłamstwo, którego się stawał mimowolnym wspólnikiem. Nadto prawy aby ukrywać rzeczywistość, zamało odważny aby ją odsłonić, młodzieniec czuł w obecności Flory coraz większe pomieszanie, którem się młoda dziewczyna mocno smuciła, nie umiejąc odgadnąć jego przyczyny.

Kilka tygodni upłynęło od powrotu Waltera, a stosunki jego z przybraną siostrą stawały się codzień bardziéj trudnemi, tak iż wreszcie Flora postanowiła szczerą rozmową kres temu położyć. Pewnéj niedzieli tedy, podczas gdy Cuttle czytał bardzo uważnie, nałożywszy na nos potężne okulary, Flora spytała go czy nie wie gdzie jest Walter.

— Zapewne poszedł do swego pokoju, moja śliczna panienko, odpowiedział kapitan!

— Chciałabym z nim pomówić, rzekła Flora.

— W takim razie przyszlę go tu zaraz mojéj królowéj, odpowiedział Cuttle.

I wstawszy z miejsca, zabrał się, wziąwszy książkę pod pachę. Wkrótce, wszedł do izdebki Walter.

— Mówił mi kapitan, rzekł, że pani życzy...

Tu znagła przerwał, spostrzegłszy wyraz twarzy Flory.

— Pani w jakiemś nie zwykłem usposobieniu: dziś widzę żeś płakała.

— Tak jest, Walterze, smutna jestem płakałam. Potrzebuję z tobą pomówić.

Usiadł naprzeciw niéj, blady, z bijącem sercem.

— Za przybyciem twojem, rzekła Flora, powiedziałeś mi, że mnie znajdujesz zmienioną. W pierwszéj chwili zdziwiły mię te słowa, teraz rozumiem co chciałeś powiedzieć. Nie gniewaj sie na mnie Walterze, żem prędzéj tego nie odgadła; nadto byłam wówczas szczęśliwą, żebym mogła nad czemkolwiek się zastanowić. Czy pamiętasz Walterze, ostatnie nasze widzenie się przed twoim wyjazdem?

Walter wyjął małą sakiewkę i pokazując ją odrzekł.

— Nie opuszczała mię ani na chwilę. Gdyby mię była pochłonęła otchłań i w niéj nie rozłączyłbym się z tą drogą dla mnie pamiątką.

Podała mu rękę z niewinną prostotą.

— Dziękuję ci Walterze, rzekła. Czuję się szczęśliwą i zawsze nią pozostanę. Czy pamiętasz, że owego wieczoru, mieliśmy jakby przeczucie zmian jakie przyszłość przynieść nam miała?

— Jakich zmian? spytał zdziwiony.

— Przebacz mi Walterze. Jam powodem przykrości jakich doznałeś. Lękałam się wyznać te prawdę przed sobą, ale teraz już ona jasną jest dla mnie. Wiedziałeś i ty o tem i jakkolwiek przez wrodzoną szlachetność usiłowałeś długo ją przede mną zataić, przyszła chwila w któréj mimowoli się zdradziłeś. Cóż w tem dziwnego? za wiele wycierpiałeś, abyś mógł zapomnieć, że byłam, jakkolwiek nie z woli mojéj, powodem twoich wszystkich cierpień. Dzisiaj, nie możesz już mieć dla mnie serce brata, powinnam była wcześniéj to zrozumieć. Proszę cię więc bądź ze mną szczerym; wszakże nie masz już powodu przede mną się ukrywać.

Walter patrzał na nią zdumiony; po chwili ujmując w swe dłonie rękę, którą z błagalnym wyrazem ku niemu wyciągała, zawołał:

— Panno Floro! jestże to możebnem, abym cierpiąc sam tyle w walce jaką z sobą staczam, tobie zarazem sprawiał równie dotkliwe cierpienie? O wierzaj memu słowu, nigdy nie pomyślałem o tobie inaczéj jak z błogiem wspomnieniem pierwszych lat méj młodości. Wpływ jaki wywarłaś na moje życie, miałem zawsze za nieocenione dobrodziejstwo, za coś świętego i promiennego, czego pamięć we mnie nie zagaśnie. Widzieć cię, słyszeć cię odzywającą się do mnie jak to czyniłaś w dzień mego wyjazdu, było mi szczęściem którego żadne wyrazy nie określą: być kochanym od ciebie miłością siostry, byłoby skarbem nie do opłacenia; o powiedz że i dzisiaj skarb ten posiadam jak kiedyś, a wszystkie uczucia jakie się tylko w sercu mojem mieszczą, oddam ci w zamian na zawsze.

— Walterze, rzekła Flora z innym nieco wyrazem twarzy, ale z temże samem spokojnem zaufaniem, cóż mi się jeszcze może od ciebie należeć, skoro i tak wszystko dla mnie poświęciłeś?

— Co? rzekł Walter stłumionym głosem, czyż nie domyślasz się.....

Twarz jéj oblała się żywym rumieńcem i łagodnym ruchem wysunęła rękę z jego dłoni.

— Nie mam już dzisiaj praw brata względem ciebie panno Floro, mówił znowu Walter. Zostawiłem dziecię, dziś zastaję młodą kobietę.

Zarumieniła się znowu i ręką dała mu znak, żeby więcéj nie mówił; potem wsparła na dłoniach rozpalone czoło.

Nastała chwila milczenia; ciche łzy spływały po twarzy Flory.

— Gdybyś pani była szczęśliwą, mówił znowu Walter, gdybym cię zastał otoczoną miłością rodziny i dostatkiem, wtedy pamiętny praw które mi dawniéj nadałaś, nie lękałbym się i dzisiaj nazywać cię siostrą. Sama przestrzeń dzieląca mię od ciebie, dozwoliłaby mi odpowiadać na braterskie twoje uczucie, bez obawy nadużycia niewinnego twego zaufania. Ale tutaj... i w téj chwili....

— O! dziękuję ci Walterze, dziękuję ci całem sercem, daruj mi jeśli źle cię oceniłam. Kogoż miałam się poradzić? Sama jestem na świecie.

— Floro, rzekł Walter głosem wzruszonym, muszę ci wypowiedzieć co czuję: jakbądź przed chwilą jeszcze zdawało mi się, że nigdy tego nie potrafię. Gdyby szczęście do mnie się uśmiechało, gdybym mógł mieć nadzieję zwrócenia tobie stanowiska odpowiedniego temu które posiadałaś, powiedziałbym ci, że istnieje imię którem mogłabyś mię nazwać, imię nadające pierwsze prawo do opieki nad tobą, i że prawo to należy się może miłości jaką cię ukochałem i czci jaką cię otaczam. Powiedziałbym ci Floro, że gdybym to prawo pozyskał, całe życie poświęcenia, nie zdawałoby mi się dostateczną zapłatą za skarb podobny!

Flora trzymała ciągle głowę spuszczoną i łzy jéj nie przestawały płynąć.

— Droga moja i ukochana Floro! tem imieniem nazywałem cię w moich marzeniach, zanim zrozumiałem całe ich szaleństwo; dzisiaj, po raz ostatni chcę je wymówić i dotknąć ręki twojéj w zakład przebaczenia. O wszakże mi przebaczysz Floro i zapomnisz o tem com powiedział?

— Nie, Walterze, nie mogę o tem zapomnieć i za nic bym w świecie tego nie chciała. Czyż więc jesteś.... tak bardzo ubogi?

— Nie, ale jestem prostym komisantem odbywającym morskie podróże, dla otrzymania pewnego udziału w zyskach swojego pryncypała. Oto cały mój zawód.

— Więc znowu wkrótce odjedziesz, Walterze?

— Zapewne i to zapewne już niedługo.

Popatrzała na niego przez chwilę, potem składając w jego dłoniach drżącą swą rękę, rzekła:

— Jeśli mię zechcesz poślubić Walterze, będę cię bardzo kochała. Jeśli mię zechcesz z sobą zabrać, pójdę bez obawy za tobą, choćby na kraj świata. Ciebie nadewszystko przekładam; zresztą wszakże nie mam kogo porzucać. Całą miłość moją, całe życie moje tobie poświęcę, a w ostatniem westchnieniu przeszlę jeszcze Bogu twoje imię, jeśli mi na tę chwilę raczy pamięć i przytomność zostawić.

Kapitan tymczasem, pozostawszy sam w pokoiku Waltera, wyglądał okienkiem, dopóki się nie ściemniło, potem zapalił świecę i nałożył sobie fajkę, wreszcie wypaliwszy ją, począł zapytywać siebie co mogło takiego zajść w izdebce, że nie zabierano się dotąd do herbaty. Szukał właśnie na to odpowiedzi, kiedy w tem weszła do pokoju Flora.

— A! jesteś tu nareszcie, moja śliczna panienko, zawołał Cuttle; tożeście się dopiero nagadali z Walterem.

Flora poczęła się bawić jednym z potężnych guzików granatowego fraka kapitana i patrząc mu w oczy rzekła:

— Kochany kapitanie, chciałabym coś ci powiedzieć.

Cuttle podniósł głowę i spojrzał na twarz Flory. Tknięty myślą szybką jak błysk, zawołał:

— A co? czy to?

— To właśnie, odpowiedziała Flora.

— Więc Walter.... będzie twoim mężem? wrzasnął Cuttle.

— Tak jest, odrzekła Flora uśmiechnięta i spłakana zarazem.

Kapitan cisnął w górę ceratowy kapelusz z taką siłą, że nieborak aż o sufit się obił, potem zbiegł śpiesznie do izdebki, ciągnąc Florę za sobą.

Oprzytomniawszy nieco po pierwszych uniesieniach radości, Cuttle się dowiedział, że ślub dwojga młodych ludzi ma się odbyć za dni kilka, poczem Flora wybierze się w podróż z mężem. Obrzęd weselny postanowiono obchodzić jak najskromniéj; z obcych osób miano tylko poprosić Tootsa, oraz Zuzię Nipper, która wróciła niedawno ze wsi, dowiedziawszy się o schronieniu jakie Flora obrała. Nawiasem mówiąc wiadomość tę otrzymała za pośrednictwem poczciwego Tootsa, który uwielbiając zawsze pannę Dombey, pierwszy zdołał odkryć gdzie się udała po opuszczeniu domu ojca. Biedak, ani się domyślał jak smutną wieść miał wkrótce usłyszeć.

Czas zbiegł szybko narzeczonym do chwili ślubu na licznych zajęciach i przygotowaniach, aż wreszcie nadeszła wigilja tego dnia uroczystego.

Wszyscy byli zebrani w pokoiku za sklepowym; Flora pracowała nad jakąś robótką przeznaczoną dla kapitana. Walter siedział przy niéj, a obok Zuzia i Toots grający w karty z kapitanem. Jeden tylko Cuttle był twarzą ku drzwiom zwrócony. Zabierał się właśnie do bardzo rozważnie obmyślonego zadania, kiedy w tem karty z rąk mu wypadły i pozostał osłupiały i nieruchomy, z wzrokiem we drzwi utkwionym. Po chwili, zwróciwszy oczy na otaczające go osoby i widząc, że nikt na niego nie patrzy, uderzył pięścią w stół, jakby go chciał rozwalić i grzmiącym głosem wykrzyknął:

— Stary Sol na pokładzie! i rzucił się w objęcia Gillsa.

Zanim Flora i Walter przybiegli do starca i poczęli go ściskać z najżywszą radością, on nie mogąc wymówić ani słowa, już całował ich i tulił z płaczem do siebie. Gdy wreszcie pierwsza chwila minęła, Flora zabrała się do zdjęcia mu obszernego płaszcza którym był owinięty, i wtedy stary Sol ukazał się w téj samej w dawnej peruce, w tym samym tabaczkowym fraku i z nieomylnym chronometrem w kieszeni.

— Ten sam co zawsze, i pełen nauki jak zawsze! zawołał rozpromieniony kapitan. Ale gdzieżeś to był przez cały ten czas, mój poczciwy Solu, gdzieżeś ty był, stary mój przyjacielu?

— Jam na wpół ślepy i prawie głucho-niemy od radości, odrzekł starzec, siadając w krześle pomiędzy Florą i Walterem; dajcie mi trochę przyjść do siebie. A teraz Nedzie powiem ci przedewszystkiem, że za pośrednictwem poczciwéj Polly, wiedziałem już w części o zdarzeniach zaszłych od czasu mego wyjazdu. Wszelako widok Waltera i.... (tu spojrzał na Florę nie wymawiając jéj imienia) tak mię silnie wzruszył, że już myśli zebrać nie umiem. Ale czemuż nie napisałeś do mnie ani razu, Nedzie?

— Czemu nie napisałem? powtórzył kapitan w najwyższem zdumieniu. Ja, miałem do ciebie napisać, mój Gillsie?

— No tak; adresując na Barbady, lub też do Jamaiki. Wszakże cię o to prosiłem?

— Ty? prosiłeś mię o to? powtórzył znowu Cuttle.

— Prosiłem i to w każdym z moich listów; musiałeś o tem zapomnieć.

Zdziwienie kapitana nie miało granic. Wreszcie począł upewniać Gillsa, że żadnego od niego listu nie odebrał, gdyż biedak nie wiedział, że kilkakrotne odezwy starego Sola spoczywały dotąd w szufladzie nieprzebłaganéj wdowy Mac-Stinger, razem z listami Waltera.

— Pierwszy raz pisałem, będąc na Barbadach, mówił znowu Gills. Prosiłem cię wtedy, abyś otworzył zostawioną ci przeze mnie paczkę, jakkolwiek czas oznaczony nie był upłynął; chciałem bowiem abyś się dowiedział o powodach mojego wyjazdu. Drugi i trzeci raz pisałem z Jamajki. Donosiłem ci, że znajduję się w tym samym stanie trwogi i niepokoju, nie pozyskawszy żadnych wieści o siostrzeńcu. W następnym liście zawiadomiłem ciebie, że udało mi się napotkać kilku kapitanów okrętowych, dawnych znajomych, którzy widząc moje strapienie i trudne położenie w jakiem się znajdowałem, ofiarowali się zabierać mię z sobą darmo na swoje okręty, bylebym się wypłacał naprawą uszkodzonych narzędzi i przyrządów. Tym sposobem odbywałem różne podróże i wreszcie doszedłem do przekonania, że przeznaczeniem jest mojem wędrować tak po morzach aż do śmierci,, szukając ukochanego mojego dziecięcia. Aż pewnego razu, było to już za powtórną moją bytnością na Barbadach, dowiedziałem się wypadkowo, że kupiecki okręt który odpłynął świeżo z Chin do Anglji, zabrał z sobą mojego Waltera. Wtedy, mój poczciwy Nedzie, dopilnowawszy pierwszéj sposobności, wybrałem się za nim w pogoń i oto mię tu macie! Przybyłem téj nocy, a przez całą drogę prosiłem tylko Boga, aby owa wieść o Walterze nie była fałszywą.

Dzięki niech mu będą, wysłuchał mojéj modlitwy!

Nazajutrz, od samego rana, wszystko było w ruchu w mieszkaniu starego Sola. Flora chciała odwiedzić przed ślubem razem z Walterem miejsce gdzie brat jéj spoczywał, a ztamtąd mieli już wprost się udać do kościoła, dla odbycia obrzędu ślubnego.

O godzinie oznaczonéj, Flora z Walterem weszła do starego kościoła tchnącego ciszą poważną, gdzie już wszystko przygotowane było na ich przybycie. W zakrystji czekał Salomon Gills z kapitanem, a także i Toots w towarzystwie Zuzi. Stary duchowny przywdział komżę i obrząd się rozpoczął.

Kapitan Cuttle uważając, że zakrystjan nadto cicho odpowiada pastorowi, czuł się niejako w obowiązku zastępować go w tym względzie, co czynił z taką gorliwością, że niejedno dodatkowe *amen* znalazło się zupełnie nie we właściwem miejscu. Nadeszła chwila rozstania.

Po stokrotnych uściśnieniach i pożegnaniach, przerywanych łzami, Flora i Walter siedli do powozu mającego ich w dalszą powieźć drogę.

W pomieszkaniu drewnianego miczmana, czekało przygotowane śniadanie, ale nikt ani myślał o jedzeniu. Toots odszedł obiecując przyjść znowu wieczorem, a stary Sol wybrał się z kapitanem na pokład okrętu, który miał zabrać nowożeńców.

Przybywszy tam dwaj starcy, uczuli się nieco spokojniejsi zobaczywszy troskliwość z jaką cała osada otaczała młodą parę. Kapitan znalazł sposobność do stosownego wymienienia różnych zdań, podziwiając smak i staranność z jaką Walter urządził kajutę dla żony. Nastąpiło wreszcie ostatnie pożegnanie. Walter był smutny ale spokojny, Flora we łzach tonęła; stary Sol jakkolwiek udawał wesołego, łzy jednak połykał ukradkiem, kapitan zaś był rozpromieniony.

Nazajutrz o świcie,—okręt podniósł kotwicę.

Cały rok odtąd upłynął. Przez ten przeciąg czasu, firma Dombey i Syn staczała rozpaczliwą walkę z długim szeregiem niepowodzeń, klęsk losowych i nieszczęśliwych przedsięwzięć; przedewszystkiem zaś z uporczywem zaślepieniem swego naczelnika, którego pycha uznać nie chciała słabości nawy pędzonéj przez niego całą siłą ku idącéj burzy.

Burza nadeszła i zanim rok upłynął, potężna owa firma już nie istniała.

Pewnego popołudnia, prawie w rocznicę ślubu wyżéj opisanego, głuche szmery zapowiedziały na londyńskiéj giełdzie ważne jakieś bankructwo. Nie pokazał się na niéj w dniu onym wyniosły bogacz, dobrze tam znany, i nikogo w swem miejscu nie przysłał. Nazajutrz, już wszyscy wiedzieli że firma Dombey i Syn zawiesiła swoje wypłaty, a wieczorna lista upadłości od tego rozpoczynała się nazwiska.

Znowu więc nastały niemałe zmiany w posępnéj Dombeyów siedzibie. Pozostali jeszcze w domu służący otwierali nieustannie drzwi obcym ludziom, rozglądającym się po wszystkich kątach pomieszkania dla oszacowania tego, co w niem pozostało.

Dombey pyszny i nieugięty jak zawsze, nie zrobił żadnego starania dla odwrócenia grożącego mu nieszczęścia. Potem, nie odwołując się do niczyjéj łaski ani wyrozumiałości, pozwolił sprzedać wszystko co posiadał, dla zaspokojenia wierzycieli, czuł bowiem, że runął bez nadziei dźwignięcia się kiedykolwiek; pogardzał więc próżnemi zabiegami. Utraciwszy dawne stanowisko, zamknął się w zupełnéj samotności, biorąc z sobą zranioną dumę za jedyną pocieszycielkę swego upadku.

Z początku, Dombey nie przyjmował żadnych odwiedzin; pewnéj nocy jednak, ulegając sile z któréj sam nie zdawał sobie sprawy, i pewien że o téj porze z nikiem się spotkać nie może, wyszedł i począł chodzić po innych częściach domu. Zrazu wzrok jego natrafiał tylko na ściany poodzierane z kosztownych obić które je zdobiły, na pootłukane i powalane odrzwia, potem oczy jego padły na liczne ślady stóp ludzkich odbitych na zakurzonéj posadzce. Zamyślony zatrzymał się przy nich, zaczął się wpatrywać i naprzód przypomniał sobie, ile przez dni kilka wycierpiał, słysząc nieustanny odgłos chodzących ludzi z zimną obojętnością zabierających resztki z dawnéj niegdyś zamożności. Potem sam nie wiedząc jakim sposobem, myśli zwrócił w przeszłość i pomiędzy śladami temi, zaczął wyobraźnią śledzić odbicia drobnéj stopy dziecięcéj. Poszedł za niemi..... i zdało mu się, że widzi dziecię przed nim idące. Zatrzymał się,— postać którą wytworzyła jego wyobraźnia, była to postać jego córki, niosącéj na ręku inne dziecię, tak jak to kiedyś pewnéj nocy miało miejsce. Strwożony, bezprzytomny począł biedz jakby uciekał przed jakiem widziadłem.... ale mimowoli biegł w ślad za ową postacią i tak zaszedł, aż do pokoju w którym syn jego zakończył życie.

I tu dojrzał też same kroków ludzkich ślady! Nie uszanowały nawet miejsca, gdzie stało dawniéj małe łóżeczko! Zaledwie ojciec znalazł wolne miejsce przy ścianie, żeby tam usiąść i zapłakać. Tak tedy, siedząc na gołych deskach podłogi, sam w tym opustoszałym pokoju, człowiek ów wreszcie zapłakał, ale nawet w téj chwili, gdyby twarz tchnąca współczuciem ukazała mu się była, gdyby ręka przyjazna wyciągnęła się ku niemu, odtrąciłby ją z pewnością i szybko uciekł od tych objawów życzliwości.

Gdy świtać poczęło, Dombey powrócił do swego pokoju. Miał właśnie dnia tego wyjechać, gdyż oprócz domu wraz ze wspomnieniami do niego przykutemi, nic mu już więcéj z dawnego mienia nie pozostało. Ale dzień mijał jeden po drugim a on ciągle wyjazd odkładał: co noc po opustoszałym domu, błąkał się podobny do widma i co rano siadłszy w najciemniejszym zakątku swego pokoju, długo myślał nad stratą obojga swych dzieci, z których jedno Bóg mu zabrał a drugie wypędził własną swą wolą. Wreszcie postanowił nie opuszczać domu, zwłaszcza że mógł go odstąpić wierzycielom nie zrywając węzłów łączących go ze skarbnicą jego pamiątek. Nic go

jednak bardziéj nie dręczyło nad myśl, co świat mówi, że firma Dombey i Syn już nie istniała!

Nazajutrz kiedy zaczął nad tem rozmyślać, spojrzawszy w źwierciadło, spostrzegł nagle odbicie w niem własnéj swéj postaci. I zobaczył jak człowiek z twarzą wybladłą, pomarszczoną, zestarzałą, z błędnem wejrzeniem dumał ponuro przy wygasłem ognisku. Wstał i przez czas jakiś po pokoju się przechadzał; wreszcie przeszedłszy do przyległego gabinetu, wziął ze stołu pistolet, nabił go, włożył w boczną kieszeń i usiadł przed wygasłym kominkiem. Jakie myśli przemknęły mu się wtedy po głowie, któż je odczytać zdoła! Musiały mu tylko widać zwijać się w tysiącznych splotach, jak kręgi gadziny ranionéj śmiertelnie, bo twarz mu się nagle wykrzywiła i zerwawszy się pochwycił za broń ukrytą w kieszeni.......

W tem głośny płacz i krzyk zatrzymał jego rękę, przyłożoną do cyngla pistoletu zwróconego rurę w samo czoło. U nóg swoich zobaczył córkę!...

— Ojcze! ojcze ukochany! przebacz mi! wołała Flora. Przyszłam cię o to błagać na klęczkach Bez twego przebaczenia, nie potrafię być dłużéj szczęśliwą.

Była zawsze tą samą co niegdyś, patrzyła na niego tem samem spojrzeniem, gdy żebrała o jedno słowo miłości.

— O mój ojcze, nie patrz tak na mnie! Nie miałam nigdy zamiaru opuszczenia ciebie. Kiedym z domu odeszła byłam przejęta trwogą i nie mogłam się zastanowić nad tem co czyniłam.

Dombey osunął się bezsilny na krzesło. Uczuł jak ręce córki oplatały mu szyję, uczuł jéj pocałunki na twarzy i w téj chwili łzy zasłoniły mu oczy.

Flora przytuliła do piersi głowę ojca i łkając mówiła daléj:

— Ojcze drogi, jestem już matką. Gdy syn mój się urodził i gdy poznałam ile go kocham, wtedy dopiero uczułam cały ogrom winy jaką popełniłam. Ojcze kochany dla miłości dziecka mojego, dla miłości imienia jakie mu dałam, dla miłości córki twojéj, przebacz Walterowi. On taki dobry dla mnie, jam przy nim tak szczęśliwa! Nie on temu winien, ale ja, żeśmy się pobrali; ja go tak bardzo kochałam!

Wymawiając te słowa gorącéj prośby, ściskała go czuléj jeszcze i pieszczotliwiéj.

— Serce moje ukochało go wszystkiemi siłami; oddałabym życie za niego. On cię będzie kochał i szanował, drogi ojcze, tyle ile ja cię kocham i szanuję. Nauczymy dziecię nasze żeby cię kochało, a późniéj skoro to zrozumieć potrafi, powiemy mu, że miałeś kiedyś syna tego, co ono imienia i że ciężko przebolałeś jego stratę. Ucałuj mię ojcze, niech wiem, że przebaczasz ukochanemu mojemu Walterowi.

— Floro!..... Floro.... jęknął Dombey i z głośnem łkaniem przytulił głowę jéj do swéj piersi. O moja ukochana.... o moje biedne dziecię.... szeptał ciągle jam taki był dla ciebie okrutny!

Posłuszny jak dziecię Dombey ubrał się i wyszedł z Florą z pokoju, żegnając ostatniem spojrzeniem to miejsce, gdzie tak długo przebywał w ponuréj samotności. Idąc Flora przytulona do ojca patrzała mu troskliwie w oczy, i tak doprowadziła go aż do powozu, którym zaraz oboje odjechali.

XVII.

Wielka uroczystość powtarzająca się dwa razy do roku w zakładzie doktora Blimbera, odbyła się właśnie według wszelkich form niezmiennie w podobnych razach zachowywanych. Uczniowie porozjeżdżali się do domu, nie okazując za nadejściem wakacji nadmiaru radości, niezgodnéj z powagą zakładu. Młody Skettles, już podostatkiem opchany nauką, wyjechał za granicę, dla nabrania tam poloru jakiego wymagało obecne stanowisko jego rodziców: Tozer, obecnie wysmukły młodzieniec, noszący z bardzo wytwornym szykiem buty *à la Wellington*, kuty na cztery nogi pod względem wszelkich starożytności, co do znajomości języka i literatury angielskiéj, był jak tabaka w rogu. Tak dokładne wykończenie wykształcenia owego młodego człowieka, napawało rozkoszą serca jego rodziców. Nauka jednak, którą nagromadzono w głowie owego nieboraka, tak bezładnie była tam pomieszczoną, że podobnie jak w kuferku, nieporządnie upakowanym, nie można w niéj było nigdy odszukać w porę tego czego szukano. Owoce które Briggs z takim trudem zdobywał z drzewa wiedzy, uległy tak forsownemu wtłoczeniu w jego pamięć, że zrobiła się z nich różnorodna jakaś mięszanina, nie zachowująca śladu swych części składowych. Bitherstone przeciwnie, obdarzony całkiem odmiennem i daleko szczęśliwszem usposobieniem, znajdował się obecnie w daleko pomyślniejszych warunkach. Na nim działanie siły traciło wpływ wszelki z chwilą ustania jéj przemocy i skutkiem tego, wyszedł z pod cisnącego przyrządu Blimbera w stosunkowo nie złym stanie. Płynąc w stronę Bengalu, gdzie miał zastać rodziców, czuł iż zapomina z taką szybkością wszystko, czego się uczył kiedykolwiek, że nawet nie był pewny czy dowiezie w całości łacińskie deklamacje do celu podróży.

Z rana, w dniu w którym tańcująca zabawa miała się odbyć, doktór Blimber, zamiast wyrzec urzędowe wyrazy: „Panowie rozpoczniemy na nowo nauki z końcem przyszłego miesiąca," zmienił nieco zwykłą formę i rzekł:

— Panowie, kiedy zacny nasz przyjaciel Cyncynnat szukał na wsi spoczynku, nie przedstawił senatowi rzymskiemu po sobie następcy. Ale otóż rzymianin, tu doktór położył rękę na ramieniu kandydata filologji Feedera,—oto *adolescens imprimis gravis et doctus*, którego ja, drugi Cyncynnat usuwający się od trudów mojego zawodu, przedstawiam jako przyszłego dyktatora, młodocianemu mojemu senatowi, pod którego zwierzchnictwem rozpoczniecie na nowo nauki.

Najwybujalsze zatem marzenia kandydata doczekały swego ziszczenia. Doktór Blimber, zdobył się nadto na zupełne odświeżenie domu, na ustąpienie swemu podwładnemu kierunku zakładu, i na oddanie mu w przydatku nieocenionéj Kornelji.

Zaraz po odjeździe uczniów, malarze zabrali się do roboty; przy niemałym pośpiechu, wszystko było gotowe na czas oznaczony, i w chwili w któréj zaglądamy znowu do zakładu doktora, widzimy Kornelię przyozdobioną nowemi okularami i już ubraną do ślubu.

W salonie, zastajemy zebranych: doktora, bardziéj niż kiedy poważnego, jego małżonkę ubraną w bardzo strojny czepek z pąsowemi kwiatami, kandydata filologji Feedera z czupryną wielce po świątecznemu nastroszoną, i brata jego Alfreda Feedera doktora świętéj teologji, mającego celebrować przy ślubnym obrzędzie. Kiedy Kornelja weszła ze swemi druchnami, uwieńczona kwiatem pomarańczowym, drzwi się otwarły i służący chronicznie cierpiący na oczy, zameldował donośnym głosem:

— Państwo Toots!

Toots wielce teraz barczysty, prowadził młodą kobietę, odznaczającą się blaskiem czarnych oczu i wytwornością ubrania.

— Pani Blimber, rzekł Toots, pozwoli, abym jéj przedstawił moją małżonkę.

Doktorowa okazała się uszczęśliwioną daną jéj sposobnością poznania pani Toots, w obejściu któréj jednak przebijał mimo, uprzedzającéj grzeczności, pewien odcień łaskawéj przychylności.

— Jako dawny znajomy szanownych państwa, mówił daléj Toost podnosząc głowę w górę, czuję się w obowiązku zwrócić państwa uwagę, że zapoznaję was z jedną z najrozumniejszych kobiet, jakie istniały kiedykolwiek w świecie.

— Ależ, co też mówisz? przerwała mu żona.

— Daję na to słowo honoru, ciągnął daléj Toots. Mogę.... mogę zapewnić panią, że Zuzia jest niepospolitą kobietą i niepospolicie rozumną.

Zwrócił się następnie do narzeczonéj i złożywszy jéj życzenia, zaczął z Feederem rozmawiać w framudze od okna.

— Cóż tedy, rzekł kandydat, niezwykle żartobliwy i rozweselony, wpadłeś i ty nareszcie w pułapkę, stary lowelasie.

— Trudno, odrzekł Toots, składam ci serdeczne moje powinszowanie. Jeśli będziesz tyle.... tyle szczęśliwy co ja w domowem pożyciu, nic ci więcéj nie pozostanie do życzenia.

— Wdzięczny ci jestem niewymownie, odrzekł Feeder ściskając mu rękę.

— A teraz powiedz mi szczerze Feederze, jak uważasz moje ożenienie?

— Znakomite mój drogi, znakomite!.

— Doprawdy? Więc jeśli ty Feederze, uważasz je za znakomite, pomyśl co ja muszę o tem sądzić. Albowiem nie potrafisz nigdy wyobrazić sobie, jak wyjątkową i nadzwyczajną istotą jest moja małżonka.

Zuziu kochanie moje, dodał wychylając głowę z po za firanek, bądźże tak dobra, nie utrudzaj się nadto.

— Nie lękaj się, kochanie odrzekła pani Toots, ja przecież tylko rozmawiam.

—Dobrze, moja duszo, ale w każdym razie oszczędzaj twoje siły; wiesz, że cię zawsze o to proszę, droga moja Zuziu... Ona tak łatwo się ożywia w rozmowie, dodał zwracając się ku pani Blimber, a ją to męczy, a lekarz zalecił, aby się bardzo szanowała. (d. n.)

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA

OD

FORMACYI WĘGLOWEJ AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

(Dokończenie.)

XI.

Wykazaliśmy wyżéj jak wielkie usługi oddaje nam węgiel, lecz nie dość na tem, jest on jeszcze doskonałym artystą, odtwarzającym z matematyczną ścisłością twarze nasze i ich fizjonomje, jako też najróżnorodniejsze krajobrazy i widoki. Opisując różne stany w jakich węgiel się pojawia, wykazaliśmy, że jako dostarczający ołówków, kredy rysunkowéj, tuszu i farby drukarskiéj, uwiecznia myśl ludzką, teraz zobaczmy jak w zastosowaniu do fotografji zapewnia tę ważną korzyść, iż odbicia nie ulegają zmianie pod wpływem powietrza.

Wiadomo jak często fotografie ulegają zmianie, po pewnym przeciągu czasu bledną, a czasem zupełnie prawie nikną; otóż po licznych poszukiwaniach przekonano się nareszcie, że zmienianie się, niknięcie odbić fotograficznych, jest wynikiem zmienienia się srebra, stanowiącego czarny cień obrazu.

Z tego powodu trzeba było wynaleźć czynnik mo-

gący zastąpić w fotografji działanie srebra, a nie podlegający wpływom zewnętrznym powietrza i światła. Wtedy to p. Regnault spostrzegł, że zasadą farb drukarskich, rycin, ołówków i t. p. jest węgiel, a książki, rysunki, ryciny, przechowują się najdoskonaléj przez całe wieki, ztąd wywnioskował że i w zastosowaniu do fotografji, węgiel może zdoła odpowiedzieć wymaganym warunkom. Nie zawiodły go oczekiwania, węgiel nadaje się wybornie do czynności fotograficznych i trwałych dostarcza odbić.

Znany uczony, p. Poitevin, po licznych doświadczeniach fotograficznych, doszedł że mięszanina tlenu, wodoru, węgla i azotu, jakoteż substancji zwanéj *dwuchromian potażu*, po wystawieniu na działanie światła, nie rozpuszcza się w wodzie. Zobaczmy jak zastosował tę zasadę.

Wiadomo powszechnie, że główny przyrząd fotografa stanowi *ciemnia optyczna* w któréj z przodu wprawiona jest w mosiężną rurkę soczewka wypukła, a z tyłu tafla szkła. Skierowawszy tę soczewkę czyli szkło przedmiotowe na przedmiot oświetlony słońcem, utworzy się na tafli szklannéj obraz tegoż przedmiotu, ale *odwrotny* i znacznie mniejszy. Obraz ten jest jak najwierniejszem odbiciem przedmiotu, tylko że z usunięciem tego przedmiotu i obraz znika. Przypuśćmy teraz, że w miejsce tafli szklannéj umieścimy w głębi ciemnicy arkusz papieru, zaprawiony mięszaniną tlenu, wodoru, węgla i azotu, wraz z dwuchromianem potażu, wtedy światło działające na papier tylko w punktach tworzenia się obrazu, na całéj jego powierzchni powyższy rozczyn uczyni nierozpuszczalnym. To działanie światła jest tem silniejsze, że część na którą padają jego promienie jest więcéj oświetloną. Tak więc jaśniejsze części przedmiotu, odpowiadać będą na obrazie częściom zupełnie nierozpuszczalnym w wodzie, a ciemniejsze częściom mniej lub więcéj rozpuszczalnym, stosownie do tego czy cień będzie słabszy czy mocniejszy.

Jeśli następnie obmyjemy papier w wielkiéj ilości wody, wszystkie miejsca jego powleczone zaprawą, które nie były wystawione na działanie światła, zostaną od niéj wolne z powodu jéj rozpuszczenia i papier pozostanie czysty i bez koloru, kiedy przeciwnie te na które światło oddziaływało, zatrzymają mniéj więcéj zaprawy, odnośnie do słabszego lub mocniejszego działania tegoż światła. Tak więc będzie obraz przedmiotu ale zaledwie widzialny, z powodu słabego zabarwienia użytych substancji.

Tu właśnie występuje węgiel jako materja zabarwiająca. Jeśli go się uprzednio domięszało w stanie bardzo podzielnym do rozczynu zaprawy, zabarwi ją na czarno, a nadto potrafi odtworzyć wszystkie cienie i odcienia choć jak najróżnorodniejsze, a to stosownie do grubości powłoki jaką na sobie rozłoży. Łatwo pojąć, że jeśli się powtarza działanie na mięszaninie tak zmodyfikowanéj, obraz przedmiotu stanie się widzialnym, lecz będzie to zawsze obraz *odjemny* czyli *odwrotny*, w którym miejsca przedmiotu najmocniej oświetlone są czarne i nieprzezroczyste, zaś miejsca ciemne przedstawiają się jasno. I tak być musi, ponieważ węgiel tam tylko gdzie pozostaje zabarwia rozczyn, a właśnie części jaśniejsze trzymają się papieru stając się nierozpuszczalnemi.

Lecz jeśli znowu ten obraz odwrotny przyłożymy do papieru tak samo zaprawionego, otrzymamy najwierniejsze odbicie pierwotnego przedmiotu, cienie będą odpowiadać cieniom, a części oświetlone oświetlonym.

To zastosowanie węgla do fotografji tak proste w teorji i w praktyce, jest nader mądrze obmyślanem gdyż jest niekosztowne, daje trwałe i bardzo wykończone odbicia, co wszystko zdaje się wielką zapowiadać mu przyszłość.

Teraz jeszcze słówko o zastosowaniu węgla do elektryczności.

Węgiel używany jest jako przewodnik elektryczności w stosach i przyrządach wytwarzających światło elektryczne. Ale jedna tylko odmiana węgla nadaje się na ten użytek, a tą jest węgiel który razem z koksem osadza się w retortach używanych do gazu oświetlającego. Węgiel ten jest doskonałym przewodnikiem ciepła i elektryczności, jako też i metalów.

Z węgla takiego wyrabiają się cylindry, tworzące biegun dodatni stosu Bunsena. Stos Bunsena jest stosem Growego, w ten sposób zmienionym, że węgiel zastępuje platynę. Składa się z naczynia szklannego zawierającego, wodę i kwas siarczany, z walca cynkowego pustego wchodzącego w naczynie szklanne, na którym osadzona jest cienka blaszka miedziana, służąca za biegun ujemny; z naczynia dziurkowatego z gliny lekko przepalonéj, nalanego kwasem azotnym, i z walca węglanego zrobionego z mięszaniny koksu i tłustego węgla kamiennego, wypalonéj w naczyniu z blachy żelaznéj. Na walcu węglanym osadzony jest pierścień miedziany, a przymocowana do niego blacha miedziana staje się biegunem dodatnim.

Działanie tego stosu ustanawia się dopiero w połączeniu cynku z węglem; wówczas woda w któréj zanurzony jest cynk rozkłada się pod wpływem tego metalu i kwasu siarczanego, przez co tworzy się siarczan cynku elektryzujący się ujemnie, i stanowiący tym sposobem ujemny biegun stosu. Woda zakwaszona elektryzuje się dodatnio, więc płyn dodatni przechodzi przez pory naczynia dostaje się do kwasu azotnego i spływa ztąd na węgiel, który elektryzuje się dodatnio.. Węgiel wcale nie zmienia swéj powierzchni i temu głównie przypisać należy jednostajne działanie stosu.

Jedno tylko słońce przewyższa światło wytwarzane przez potężne stosy, elektryczne. Jeśli w drucie zamykającym stos. gdzie bądź zrobimy przerwę, wtedy między obu jego końcami pojawią się przeskakujące iskierki, jeśli zaś zamiast jednego stosu użyjemy większéj ich liczby, pojawi się nadzwyczaj jasny łuk światła. Pod działaniem wielkiego wywiązującego się ciepła druty metaliczne prędko się zużywają, z wyjątkiem platynowych, które topią się i rozpadają w kawałki, a ponieważ dzieląca ich przestrzeń powiększa się ciągle, światło niezadługo znika.

Aby zaradzić téj niedogodności, Davy zakończał druty przewodników laseczkami z węgla drzewnego, które w miarę ich spalenia zbliżał stopniowo, ale doświadczenie to przedstawia tę niedogodność, że węgiel drzewny pali się bardzo pośpiesznie na wolnem powietrzu, trzeba go więc zastępować węglem tak zwanym *metalicznym*, osiadającym w retortach metalowych przy wyrabianiu gazu. Jest on bardzo ścisły, dobry przewodnik elektryczności i nie tak prędko się spala. Kraje go się w laseczki i oprawia w małe walce metaliczne do których dotykają druty stosu. Daléj p. Foucault powziął myśl posługiwania się samąż elektrycznością dla zbliżenia obu węgli ruchem samodzielnym; tym sposobem dzieląca ich przestrzeń pozostaje zawsze jednaka i światło zachowuje się w jednakowéj mocy.

XI.

O ile dozwoliły ciasne ramy tych kilku pogadanek, staraliśmy się wykazać wszechstronną użyteczność węgla; dziś stał się on niezbędną potrzebą, nie ma przemysłu któryby mógł obejść się bez niego, i gdyby nagle produkcja jego bardzo się zmniejszyła, dobrobyt wszystkich ludów zostałby zagrożony.

Któż nie zna jak wielkiem dla ludzi dobrodziejstwem stały się koleje żelazne, a wszakżeż to węgiel wprawia w ruch lokomotywy, i dotąd pomimo prób, żadnem innem paliwem zastąpić się nie dał. Ponieważ nie mamy statystycznych danych, wykazujących ile wszystkie kraje europejskie wymagają węgla do obsłużenia lokomotyw na swoich kolejach, przytoczymy parę wyjątków ze znakomitego dzieła p. Amadeusza Burat, p. t. *Les Honillères de France en 1866*. Z wyrachowań odnoszących się do Francji, możemy wyrobić sobie pojęcie i o innych krajach.

Francja posiada przeszło 15,000 kilometrów dróg żelaznych, czyli trzy tysiące kilkaset mil francuzkich; utrzymanie ich wymaga 3,500 tonn węgla dziennie, a że tonn odpowiada 1,000 killogr: zatem wynosi to *trzy miljony pięć-kroć-sto-tysięcy* kilogram. czyli rocznie 1,260 miljonów kilogramów. Jestto liczba ogromna, obejmująca prawie dziesiątą część całéj produkcji węgla we Francji, a jeśli jeszcze zważymy że wyrachowanie to zrobione było w 1866, że w ostatnich kilku latach ilość dróg żelaznych tamże znacznie się powiększyła, łatwo pojmiemy jak przeważną rolę odgrywa tu węgiel, i jak byt i istnienie dróg żelaznych ściśle się łączy z produkcją węgla.

Według obliczeń zrobionych w 1868 r. marynarka francuzka podczas pokoju zużywała 160 tysięcy tonn węgla, w razie wojny przypuszczano liczbę podwójną. Okręta potrzebują obecnie węgla, nie tylko do biegu ale i do budowy, ponieważ z powodu ich opancerzania pokrywają je grubą blachą żelazną, niekiedy bardzo grubą, a widzieliśmy wyżéj, że do wyrobienia żelaza koniecznie potrzeba węgla.

Weźmy n. p. pancernik wojenny opatrzony maszyną parową *żelazną* o sile 800 do 1000 koni; blacha pancerza ma w przecięciu około 15 centymetrów grubości; okręt taki posiada 40 armat i ostrogę ważącą 15 tysięcy kilogramów. Do wyrobienia tak wielkiéj ilości żelaza, potrzeba 25 do 30 tonn węgla kamiennego, a do poruszenia okrętu 60 tysięcy kilogramów dziennie, tak więc bez węgla marynarka istnieć ani okręty płynąćby nie mogły.

Dodajmy jeszcze, że w podanem wyżéj obliczeniu ilości węgla, potrzebnéj do marynarki francuzkiéj, marynarka kupiecka bynajmniéj nie wchodzi w rachubę.

Sławny olbrzymi okręt angielski *Great-Eastern* zawiera w samem tylko pudle swojem 10 miljonów kilogramów żelaza, do wyrobienia którego potrzeba było zużytkować 60 miljonów kilogramów węgla.

A jakąż to jeszcze ogromną ilość węgla zużywają fabryki metalurgiczne, oraz rozmaite huty i rękodzielnie w saméj tylko Francji, a wnosząc z przeszłości, ilość ta nieustannie wzrastać będzie. Na poparcie tego twierdzenia podajemy tu obliczenie dokonane przez p. Amadeusza Burat 1868 roku.

W roku	1789. . . .	250,000 tonn węgla.
„	1815. . . .	950,000 „
„	1830. . . .	1,800,000 „
„	1843. . . .	3,700,000 „
„	1857. . . .	7,900,000 „
„	1867. . .	13,000,000 „

Powyższe wyrachowanie przekonywa, że ilość zużytego węgla podwaja się prawie w lat 15, a że nic nie zapowiada aby z biegiem lat zapotrzebowanie to zmniejszyć się miało, zatem opierając się na powyższych danych wywnioskowano, że w roku 1900, Francja zużyje 60 miljonów tonn węgla, to jest daleko więcéj niż obecnie dostarczają wszystkie jéj kopalnie, które choć dość obficie rozrzucone są na całéj jéj przestrzeni, jednak w produkcji europejskiéj trzecie dopiero zajmują miejsce.

	Powierzchnia pokładów.	Produkcja roczna
Wielka Brytanja	1,570,000 hekt.	98,000,000 ton.
Prussy, Saxonja, Bawarja	600,000 „	20,000,000

	Powierzchnia pokładów.	Produkcja roczna.
Francja	350,000 hekt.	13,000,000
Belgja	150,000 „	12,000,000
Austrja	1,600 „	3,000,000
Hiszpanja	1,600 „	400,000 (*)

Pomimo iż jak widzimy Francja posiada tak bogate kopalnie, jednak produkcja ich nie wystarcza na konsumcję, i sprowadzają rocznie z zagranicy 6,000;000 tonn węgla kamiennego i znaczną ilość koksu, odpowiadającą 300,000 tonów węgla.

Należy jeszcze zwrócić uwagę na tę okoliczność, iż najbogatsze pokłady węgla nagromadzone są na półkuli północnéj, i to tak w Europie jak i w Nowym Świecie.

Ameryka Południowa posiada bardzo bogatą, ale jedną tylko kopalnię węgla, św. Katarzyny, kiedy Ameryka Północna nadzwyczaj hojnie pod tym względem została uposażoną od natury. Rozległość jéj pokładów jest cztery razy tak wielka jak pokłady całéj Europy, a węgle z jéj kopalni nietylko wystarczają na potrzeby miejscowe, ale nawet bywają rozwożone na wsze strony świata.

Europa i Ameryka pokryły się olbrzymiemi sieciami dróg żelaznych, jakoteż fabryk pochłaniających tak niezliczone massy węgla, iż wszystko wnosić dozwala, że może nadejść chwila wyczerpania się tego drogocennego materjału. Wielu uczonych inżynierów serjo zajmowało się tą kwestją, zastanówmy się chwilę nad ich wnioskami i obliczeniami, podanemi przez p. Edgara Hément z którego czerpiemy główne podawane tu dane.

XII.

Potem cośmy powiedzieli wyżéj, nie jedna zapewnie z myślących Czytelniczek postawiła sobie pytanie: cóż poczną ludzie gdy im zabraknie węgla?

Niektórzy odpowiedzą na to, że w miejsce zużytkowanych pokładów wytworzą się nowe; że i już zużytkowany węgiel nie jest zupełnie stracony, że rośliny czerpią go z powietrza w stanie kwasu węglanego, i wzorem swych poprzedników, zwrócą nam go znów w stanie mineralnym.

Na nieszczęście dobre to tylko w teorji! Zastanowiwszy się w jakich warunkach nastąpił pierwszy rozkład roślin, zobaczymy, że obecnie niepodobna prawie przypuszczać kataklizmów, któreby pochłaniały całe olbrzymie lasy. A nadto najogromniejsze nasze lasy są tylko karłami w obec lasów epoki węglowéj, nigdy więc nie mogłyby dostarczyć podobnych co tamte pokładów węgla, a w każdym razie trzebaby kilku wieków na wytworzenie choćby znacznie mniejszych. Cóż więc począć zanim przyroda dokona dzieła zniszczenia, i odda ziemi węgiel wybrany przez ludzi?

Ponieważ klęska ta nie zagraża ani nam, ani nawet bezpośrednim naszym następcom, znajdzie się pewnie dość osób, którzy naśladując wstrętnie samolubne odezwanie się Ludwika XV „après moi le déluge" powiedzą sobie: a cóż nas to obchodzi, że kiedyś tam zabraknie węgla!.... Lecz nie zapominajmy, że od początku do końca świata, następujące po sobie pokolenia tworzą jeden nieprzerwany łańcuch, i że jak my dziś korzystamy z pracy minionych generacji i zbieramy owoce ich trudów, tak nawzajem obowiązkiem jest naszym przysposabiać grunt naszym następcom i usuwać wszelkie dające się przewidzieć trudności.

Wielu uczonych poważnie zajmowało się tą kwestją: jeden z nich słynny i dowcipny inżynier p. L. Simonin, pracował wiele nad obmyśleniem, jak się wyraził, *paliwa przyszłości*. Lecz zanim podamy jego wnioski, rozbierzmy jeszcze przytoczone wyżéj twierdzenia o możliwości wyczerpania pokładów węgla.

Powiedzieliśmy już, że jeśli konsumcja węgla we Francji zwiększać się będzie w odpowiednim jak dotąd stosunku, już w roku 1900 komsumcja o wiele przewyższać będzie produkcję. Co do Anglji p. Jevans obliczył, że w roku 1861 produkowała 83,000,000 tonn, a w r. 1961 odnośnie do zwiększającéj się komsumcji potrzebowałaby wyprodukować 2,607 miljonów, następnie opierając się na mniéj więcéj prawdopodobnych przypuszczeniach, oblicza że cała ilość węgla zawartego w pokładach angielskich wynosi około 83 miljardów tonn z czego wynika, że za lat 110 bogate pokłady W. Brytanji w zupełności zostaną wyczerpane.

Co do innych krajów, tym według obliczeń, zaledwie na lat 50 wystarczy: widzimy więc że nie jest to tak bardzo daleka przyszłość.

W roku 1866 kwestja ta nadzwyczaj zaniepokoiła umysły w całéj Anglji, i została wniesioną do Izby Gmin.

Chcąc o ile można zaradzić tak przerażającéj ewentualności, niektórzy proponowali aby zwiększyć głębokość kopalni, i eksploatować je aż do 1000 a nawet 1200 metrów. Ale była to rada całkiem niepraktyczna. Widzimy: że w miarę większego coraz zapotrzebowania, ceny węgla ciągle się podnoszą, jeśliby więc otrzymywanie go tak bardzo stało się kosztowniejszem, ceny doszłyby do wysokości uniemożliwiającéj użycie. A nadto któż wie, czy możnaby zapuszczać się w tak głębokie otchłanie bez narażenia życia górników? Czy pokłady sięgają tak głęboko, a i w takim nawet razie, czy stan zawartego w nich węgla odpowie potrzebom? A jeśliby po niesłychanych trudach i kosztach, znaleziono tylko pokłady węgla piaszczystego lub antracytu, nie nadające się zupełnie do licznych użytków jakie oddają inne odmiany węgla?

Stawiano jeszcze wiele innych wniosków mniéj więcéj praktycznych, ale żaden nie rozwiązał trudnego tego zadania.

Przejdźmy do wniosku p. Simonin. (*)

Jak to już powiedzieliśmy, węgiel którym opalamy nasze ogniska, wydziela z siebie ciepło słoneczne, nagromadzone jeszcze w epoce węglowéj: p. Simonin proponuje więc, aby obymyśleć praktyczny środek dozwalający zbierać i *zapakowywać w butelki* ciepło słoneczne. Nauka powinna wskazać sposób jakim się to da dokonać, a zanim to nastąpi należy korzystać z olbrzymich pokładów węgla rozpościerających się w Ameryce Północnéj, jakoteż z nieprzebranych źródeł oleju skalnego i ogrzewać niemi nietylko nasze mieszkania i kuchnie, ale nawet maszyny parowe. Rząd francuzki polecił nawet znakomitemu chemikowi, p. Henry-Saint-Claire Deville, aby obmyślił praktyczny sposób ogrzewania ognisk i lokomotyw olejem skalnym czyli naftą.

Proponowano także, aby wprawiać maszyny w ruch za pomocą spadku wód i spożytkować w tym celu n. p. spadek Niagary około którego koncentrowałyby się fabryki całego świata. Ale oprócz że już to samo jest niepodobnem do wykonania, jakimże sposobem wprawialibyśmy w ruch nasze lokomotywy i statki parowe?

Dotąd więc wszystkie podawane środki są albo niepraktyczne i dobre tylbo w teorji, albo w dzisiejszym stanie nauki całkiem niemożliwe; miejmy jednak nadzieję, że zanim ta straszna nadejdzie chwila nauka tak olbrzymie zrobi postępy, iż potrafi rzeczywiście spożytkować strumienie ciepła słonecznego, lub też dobroczynna przyroda dostarczy nam jakichś nowych, dotąd troskliwie ukrywanych środków.

O ile dozwoliły szczupłe ramy tych pogadanek staraliśmy się wykazać dobroczynną, wszechwładną działalność węgla. Rozwielmożniony w przemyśle i handlu, roztacza on wokoło życie i dobrobyt. Użyty w wielkich ilościach przy fabrykacji gazu, łagodnem światłem oświetla razem miasta i zarazem dostarcza nam owych pięknych farb anilinowych tak rozliczne znajdujących dziś zastosowanie. Daléj wytwarza wielką liczbę produktów chemicznych, tak niezbędnych dla uczonych jako oddziaływacze, dla rolników jako nawóz, dla chorych jako zbawienne lekarstwa.

A jakże to różnym podlega przekształceniom!

Utajony w gazie oświetlającym, płonie, przemienia się w kwas węglany i rozchodzi w powietrzu. Przedostaje się do gruntu pod postacią nawozu, a powietrze i ziemia stają się źródłem, z którego węgiel czerpią rośliny i przyswajając go sobie, zamieniają w swoją krew i ciało, w całą swoją istotę.

Ale nie na tem koniec. Spojrzmy na owe piękne pastwiska stanowiące pożywienie licznéj trzody; wszystkie te zwierzęta karmiąc się roślinami, wprowadzają węgiel do swego organizmu, i on to przez opalanie utrzymuje w nich ciepło i życie. Z kolei ludzie spożywają te zwierzęta, i znowu w ich wnętrzu płynie zapożyczony od nich węgiel, poczem wraca do powietrza i ziemi.

Spojrzmy teraz w niezmierzone tonie oceanów i przypatrzmy się tym mirjadom zwierzokrzewów polipów, tworzących tak liczne zastępy. Wszystkie te zwierzątka przysłaniają się kredową skorupą węglanu wapna, i gwałtownie pochłaniają z powierzchni kwas węglany, w miarę rozpuszczania się jego w wodzie morskiéj. Ilość węgla pochłoniętego w ten sposób przez każdą taką istotkę,—to jedno nic prawie, ale obliczmy wszystkie te nic, zsumujmy te ilości nieskończenie małe, a wypadną ilości nieskończenie wielkie, przechodzące wszelkie pojęcie. Aby choć w przybliżeniu wyobrazić sobie niezliczone massy tych maluczkich zwierzątek, przypomnijmy sobie, że wytworzyły one wielkie przestrzenie, całą część skorupy ziemskiéj i stanowią dziś podstawę wielkich miast i państw.

Teraz spojrzmy jeszcze na węgiel przez palenie wielką wywiązujący siłę, z pomocą któréj lekkie statki przepływają w kilka dni całe oceany, a wagony i lokomotywy szalonym pędem biegną po kolejach.

To znowu w fabrykach i rękodzielniach węgiel porusza starannie maszyny jakiemi posługają się fabrykanci i przemysłowcy.

Węgiel jest dziś wszechmotorem, główną osią mechanizmu społecznego, on to roztacza życie, utrwala nasze myśli, odtwarza oblicza, roztacza światło i ciepło, i jeśli kiedyś potomność zechce dokładnie scharakteryzować naszą epokę, nada jéj nazwę *wieku węglowego*.

J. Belejowska.

(*) Nasze pokłady w Dąbrowie mają do 50 stóp głębokości, należą więc do najgłębszych; ogólną ilość węgla wydobytego rocznie tak z rządowych jak z prywatnych kopalni, obliczają 14,000,000 do 15,000,000 pudów.

(*) La vie souveraine. Paris 1867.

Dalszy ciąg opisu N. 11.

N. 27. Chusteczkowy kołnierz i szerokie mankiety.

Ten rodzaj kołnierza i mankietów może zarówno być odrobiony z muślinu lub tiulu jak



N. 2. Ubranie głowy i kokarda do kołnierzyka, przyozdobiona szlakiem tureckim.

i z krepy jedwabnéj lub grenadiny. Chusteczkę układa się z kawałka skośnego, mającego 28 cent. długości, w środku 14 a w końcach 21 cent. szerokości. Brzegi ścina się podług prostéj nitki spiczasto do końca w ten sposób, ażeby brzeg zwierzchniéj w kontrafałdę założonéj szerszéj połowy, miał 19 cen. długości, a brzeg dolnéj połowy 14. Szeroka biała nadmarszczona koronka i wązka wstawka do przewłóczenia czarnéj aksamitki lub kolorowéj wstążeczki, stanowi garnirunek. Sposób założenia 3 fałdów widoczny jest na rysunku. Mankiety krają się w ten sposób, ażeby materjał w środku był złożony prosto podług nitki i miał 9 cent. długości, w rozszerzonych zaś końcach był ścięty skośno i miał 19 centymetrów. Górny brzeg mieć powinien 40 a dolny 62 cent. szerokości. U dołu na 11 cent. długości od brzegów mankiet pozostawia się ukrojony prosto, daléj ścina się skośno ku środkowi, przez co otrzymuje oryginalną formę.

Brzegi nie są zeszyte tylko kokardą ze wstążki lub aksamitki złączone; w górze zakłada się mankiet w dwie szerokie kontrafałdy i przyszywa do wązkiego paska. Koronka 'i wstawka taka sama jak przy kołnierzyku.



N. 5. Ubranie balowe z bertą w kształcie szelek.

N. 28. Wstawka zakończona ząbkami z tasiemeczki, do sukienki dla dziecka rycina 26 w N. 12 Tyg Mód.

N. 29. Szlaczek gipiurowego haftu na kolorowem podłożeniu, do sukienki dziecinnéj rycina 26 w N. 12 Tyg. Mód.



N. 1. Motyl do przyozdobienia szarf lub sukni. Ścieg koronkowy z podłożeniem tiulu.



N. 7. Okrycie do wejścia na bal lub do teatru. Mode przedstawiony z tyłu, odrobiony z tiulu koronkowego i koronek.



N. 4. Marynarski kołnierzyk. Patrz N. 3.

Opis do N. 12.

N. 1. Motyl do zakończenia szarf lub jako garnirunek do sukni.

Ścieg koronkowy z podłożeniem tiulu.

Piękny ten motyl, którego skrzydełka mają w środku wyszycie na tiulu, naśladujące kosztowną koronkę, może być użyty do przepięcia kokardy do włosów, lub sam może służyć do przyozdobienia głowy, w takim razie potrzeba podłożyć skrzydełka drucikiem, okręconym białą nitką. Takie motyle stanowią także piękny i efektowny garnirunek do sukni.



N. 3. Kołnierzyk marynarski i mankiety. Zobacz. N. 4 Tył czepeczka ryc. 9 w N. 11 T. Mód.

N. 2. Ubranie głowy i kokarda ze szlakiem tureckim do kołnierzyka.

Ubranie głowy z dodaniem białych lub kolorowych kwiatów składa się ze wstążki upiętéj w kokardy i końcy długo spuszczonych z boku. Wstążkę i kwiaty przytwierdza się do opaski wkoło, przyciskającéj włosy. Na kokardę do kołnierzyka, mającą końce 13 c. długie wysiepane u dołu i przyozdobione tureckim szlakiem, potrzeba 93 c. kolorowéj rypsowéj wstążki 5 cent. szerokiej. Kokarda składa się z czterech pukli, węzła i zgrabnie ułożonego liścia. Liść przyozdabiający kokardę układa się



N. 6. Płaszczyk do wyjścia na bal lub do teatru odrobiony z białego kaszmiru. Zob. deseń na haft ryc. 3 w N. 9 Tygodnika Mód.

z 23 cent. długiego kawałka wstążki 3 cent. szerokiéj, którą w środku zakłada się w kontrafałdę, a daléj w fałdy pojedyncze z jednéj i drugiéj połowy, do środka się schodzące i razem przeszyte. W końcach wstążka jest stopniowo zwężona, ażeby liść zakończał się śpiczasto.



N. 8. Kaftanik z karoczkiem i kamizelkowem przybraniem. Przód.

N. 3—4. Marynarski kołnierzyk i mankiety.

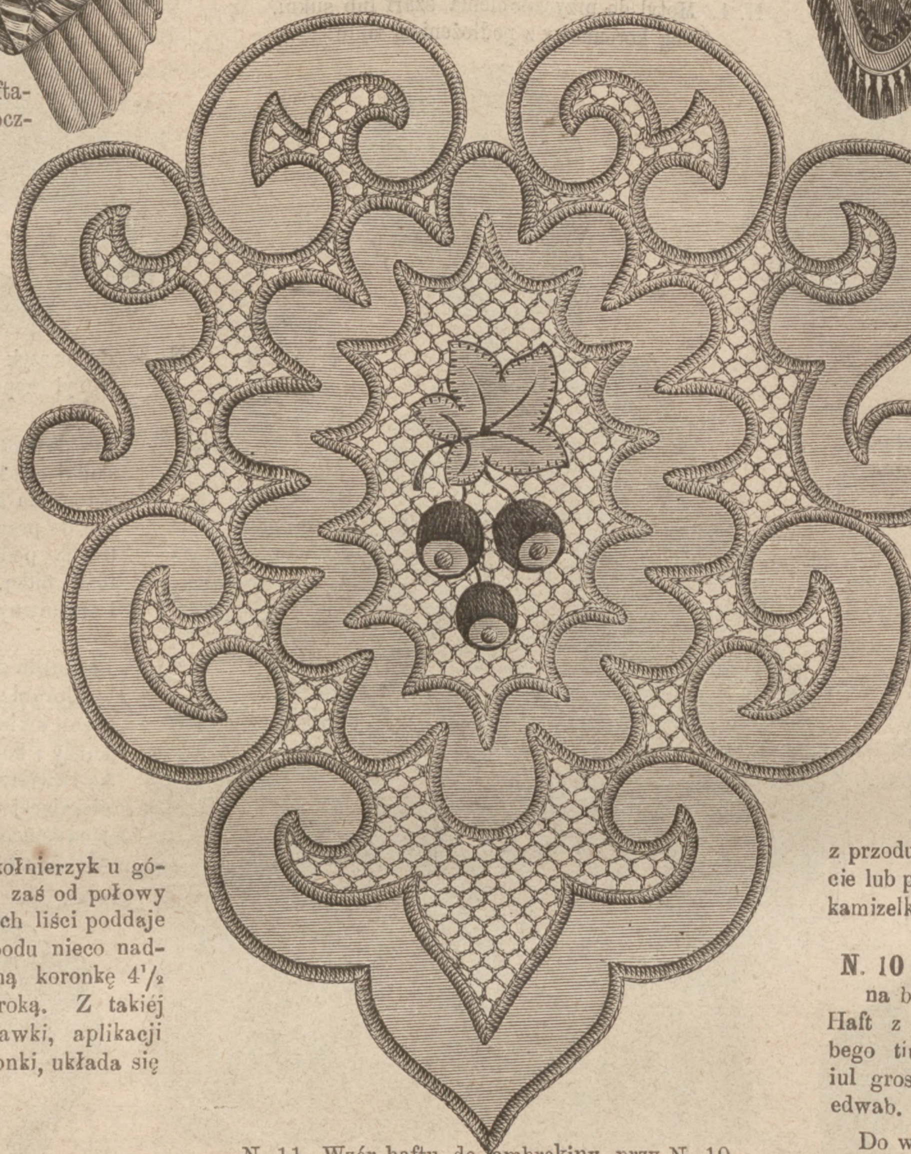
Podany kołnierzyk tiulowy w pasek wszyty zachodzi więcéj z przodu i przez to lepiej ubiera, starsze osoby. Wzór składa się z haftowanéj na muślinie aplikacji liści 5 cent. szerokich i tiulowéj haftowanéj wstawki 2 cent. szerokiéj. Wstawka ze szlakiem łączy się nie zbyt cienkim haftem sznureczkowym. Przez skośne zeszycie wstawki na ramionach, nadaje się kołnierzykowi potrzebną formę. Listewka podwójna tiulowa 1 cent. szeroka, z wierzchu koroneczką pokryta, obejmuje kołnierzyk u góry, u dołu zaś od połowy haftowanych liści poddaje się od spodu nieco nadmarszczoną koronkę 4½ cent. szeroką. Z takiéj saméj wstawki, aplikacji liści i koronki, układa się odpowiednie kołnierzykowi mankiety.



N. 10. Torba na bieliznę nocną. Haft lambrekiny patrz pod N. 11.



N. 9. Kaftanik z karoczkiem i szarfami. Plecy.



N. 11. Wzór haftu do lambrekiny, przy N. 10.



1.



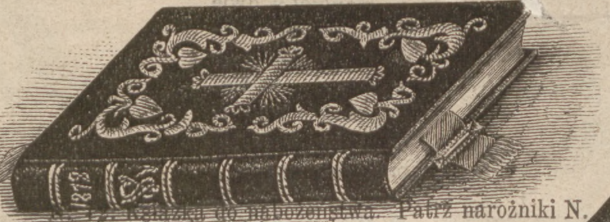
N. 16. Monogram na książkę do nabożeństwa.

N. 5. Ubranie balowe
z bertą nakształt szelek.

Do takiéj berty potrzebne są najprzód trzy proste kawałki tiulu 4—5 cent. szerokie, zwężające się ku końcom, które obszywa się z obu stron riuszą 3 i pół cent. szeroką, układaną z podwójnie złożonego jedwabnego tiulu i zakończa z jednego brzegu riuszą białą 2 i pół cent. szeroką z jedwabnego rypsu. Środek między riuszami pokrywa warkocz pleciony z trzech promieni, układanych z przefałdowanych kawałków tiulu po 15 cent. szerokości. Krótkie bufiaste rękawki oszyte riuszą, są równie jak i tiunika z kolorowéj gazy w pasy atłasowe. Takież riusze kilkoma rzędami otaczają gładką jedwabną spódnicę. Kolorowa aksamitka, białe kwiaty i perły stanowią przybranie sukni, szyi, paska i głowy.

N. 6—7. Płaszczyk z kapturkiem
do wejścia na bal lub do teatru.

Ryciny 6 i 7 podają z przodu i z tyłu, zręczny płaszczyk układany z prostego bryta 180 cent. długiego, a 86 szerokiego, którego układ zmienia się stosownie do materjału. N. 6 przedstawia płaszczyk z białego kaszmiru, mający wyłożenie 10 cent. szerokie, na którem równie jak i u dołu dany szlak wyszyty sznurem i haftowany atłaskiem. Przy okryciach z grubszego materjału kapturek układa sie w taki sposób jak przy beduinach. Na naszym modelu kapturek zajmuje trzecią część całkowitéj długości u dołu zaś okrycie jest okrągławo w rogach ścięte, nakształt peleryny. Jeźli okrywkę taką chcemy zrobić z tiulu, to do niej najwłaściwszy jest kapturek ułożony w wachlarz, sposobem na rycinie 7 wskazanym. Powyższy płaszczyk odrobiony jest z tiulu koronkowego i ma 74 cent. szerokości, a 180 długości. Tiul składa się równo przez środek, przecina od dołu na 26 cent. wzdłuż i oszywa w około jako też i z brzegów przecięcia czarną koronką 10 cent. szeroką. Po nad koronką dana wstawka 2 cent. szeroka, którą podszywa się lub przewłóczy kolorową wstążką. Górny brzeg okrycia wywija się z obydwóch końców, przez długość 67—70 cent., na 12 cent. szerokości i łączy w górze ze sobą na 5 cent. głęboko. Pozostałą resztę w środku, układa się sposobem wachlarzowym w fałdy jak to widać na rysunku i przepina kokarda.



N. 12. Książka do nabożeństwa. Patrz narożniki N. 13 i 14 i monogramy N. 15 i 16.



N. 13—14. Dwa narożniki do książki N. 12. Haft złotem na aksamicie.

N. 8—9. Stanik
z karoczkiem i ubraniem kamizelkowem.

N. 8 podaje z przodu stanik z gładkiéj, wełnianéj materji, przybrany plisami z materji w pasy, tegoż odcieniu. Do wązkich rękawów dodane są wzdłuż do łokcia plisowane falbany. Przody stanika zakończone są wyłogami z aksamitu, dodanemi w kształcie kamizelki; wyłogi te są wyszyte sutaszem i zapięte na guziki. W miejsce materji w pasy, można także na plisy użyć aksamitu. Przy kaftaniku w pasy N. 9, plisy i szarfy są z gładkiéj materji objęte atłasową wypustką. Riusza zaś i kokardy układają się z tego co kaftanik materjału. Frendzla jedwabna w kwaściki wiązana, strojnie dopełnia garnirunku. Chusteczkowe ubranie przy wykroju szyi, stanowi z przodu podłużne wycięcie lub przedłuża się przy kamizelkowem ubraniu.

N. 10—11. Torebka
na bieliznę nocną.

Haft z podłożeniem grubego tiulu na perkalu. Materjał: Biały (iul grosbotowy, plecionka, bawełna do h edwab.

Do wykonania modelu potrzeba kawałka cent. długiego i 40 szerokiego, od któr zwierzchnią do zamykania, odlicza się 17 cent. długości. Rycina 11 wskazuje deseń haftu jednéj z trzech lambrekin, z których środkowa powinna być większą. Haft odrobiony ściegiem dzierganym bawełną białą z podłożeniem ażurowem tiulu, gałązka na medaljonie środkowym odrobiona czarnym jedwabiem. Po wykończeniu haftu materjał matowy wycina się od spodu. Tło zawiera rzut z liści takich, jak w lambrekinach z podłożeniem tiulu. Boki torebki są 4—5 cent. szerokie a 34 długie. Po nad środkową lambrekiną dana kolorowa kokarda; między ząbkami przyszyte guziki do zapinania.

N. 12—16. Książka do nabożeństwa
ozdobiona haftem.

Rycina 12 podaje całość książki czarnéj aksamitnej, haftowanéj bogato złotem. Równie pięknie przedstawia się na każdym ciemnym aksamicie np. zielonym, szafirowym, wiśniowym i t. p., haft kordonkiem tegoż lub jaśniejszego cieniu.

N. 13 i 14 przedstawia dwa odmienne narożniki, krzyż zajmujący środek książki łatwo wyszyć podług zmniejszonego formatu na N. 12, również może on być zastąpiony monogramem, odrobionym podług wzorów podanych na rycinie 15 i 16.

N. 17 i 18. Dwa szalowe
krawaty męzkie.

Krawaty takie najstosowniéj odszyć z rypsu, jedwabnego atłasu, albo z ma-

terji w tureckim guście. Paski otaczające szyję z podwójnéj materji na sztywnem podłożeniu 2 i pół cent. szerokie, przyszywają się w ten sposób aby, mogły się ścieśniać lub rozluźniać. W tym celu koniec puszczony, powinien być trochę węższy i mieć przytwierdzoną odpowiednią maszynkę. Maszynka może być zastąpioną kilkoma drucianemi kółkami i przymocowanemi w odstępach i zapinającemi się za pomocą guziczka lub haczyka, przytwierdzonego od spodu krawata.

N. 17. Szalowy krawat z przewiązanym węzłem. Szalik jedwabny turecki wysiepany u dołu, mający około 85 — 90 cent. długości a 15 szerokości, przyszyty jest do wązkiego paska, przewiązanego na środku w węzeł. Końce spinają się podług wzoru długą szpilką, w kształcie rewolwera.

N. 18. Szalowy krawat



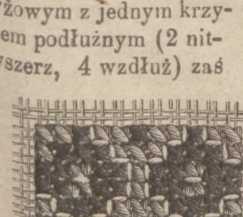
N. 17. Krawat szalowy z przewiązanemi końcami.

N. 22. Wykonanie kółka do N. 21.

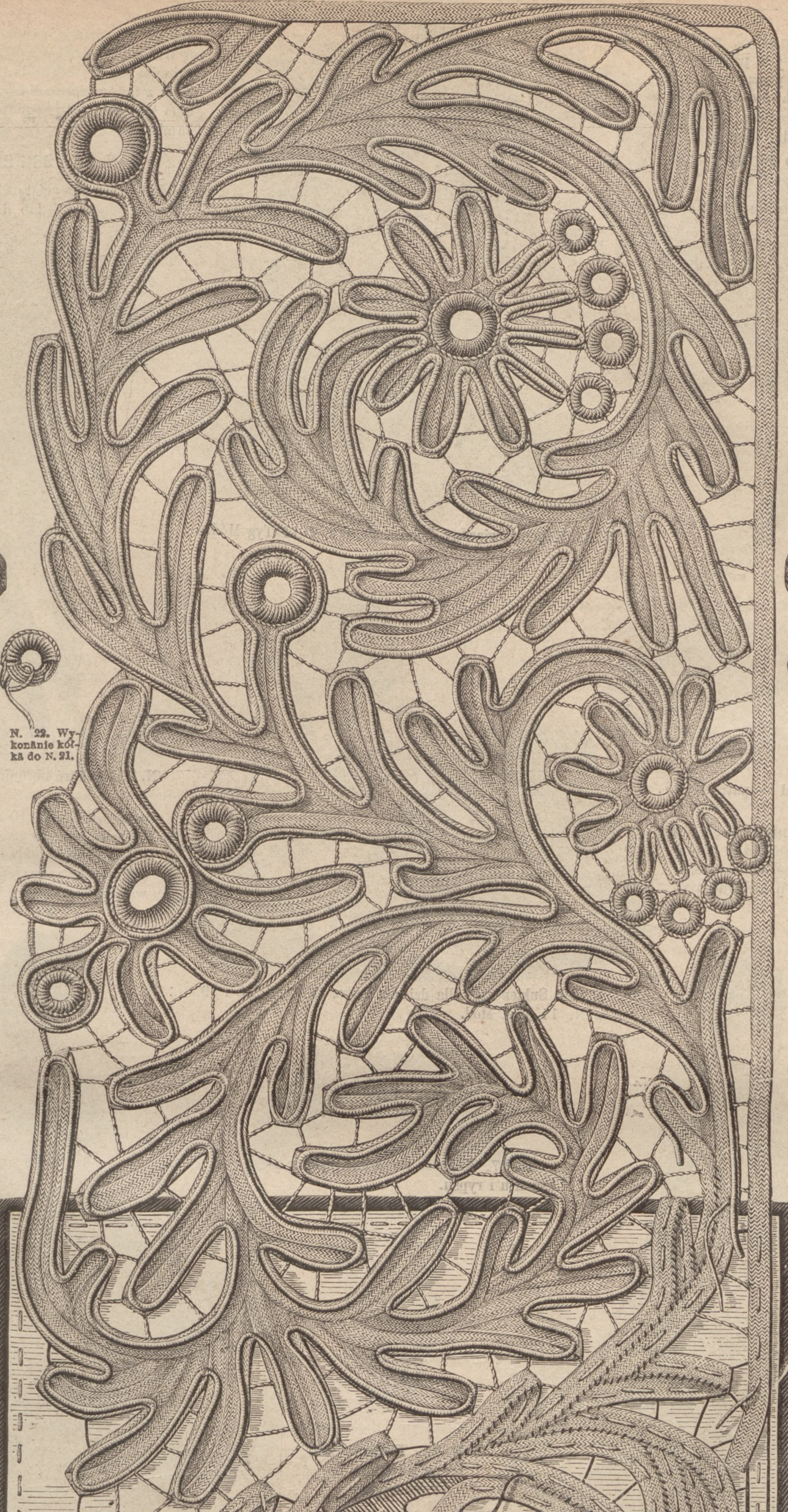
z końcami na krzyż przełożonemi. Dwa końce po 30 cent. długie, liczące w podwójnem złożeniu 8 i pół cent. szerokości, są przewiązane w środku węzłem z kawałka materji 6 cent. szerokiego podszytego sztywnym ... wiązanie to po... materji 17 cent. ...ym. szeroki na ...szewce. Dwa dłu...watu powinny być luzno pod węzłem przeciągnięte, skrzyżowane i nieznacznie zamocowane. Pasek koło szyi przyszywa się tak, aby go można przesuwać.

N. 19—20. Dwa ściegi robotą krzyżową.

Do obu gustownych wzorów używa się czarna angielska włóczka i inna odmiennego koloru, jasnego dobrze odbijającego cieniu. Maisowy-żółty kordonkowy jedwab, służy do wyszycia ściegów podłużnych i gwiazdek. N. 19 wskazuje kwadraty wyszyte zwykłym ściegiem krzyżowym z jednym krzyżykiem podłużnym (2 nitki wszerz, 4 wzdłuż) zaś



N. 19. Tło krzyżową robotą, do pantofli, woreczków i t. p.



N. 21. Ażurowy szlak do obrusów kościelnych. Robota koronkowa z plecionki płaskiéj zwana „Hiszpańską koronką“ Zobacz ryc. 22.

kolorowe kwadraty na rycinie 20 wyszyte ściegiem luźnym. Dwa węzełki zapełniają środki kwadratów.

N. 21—22. Szlak do obrusów kościelnych, firanek i t. p.

Robota koronkowa z płaskiéj plecioneczki, nazwana „hiszpańską koronką“. Patrz N. 22.

Materjał: Cienka płócienna plecioneczka okrągły sznureczek, nici na szpulkach N. 60 i bawełna kręta N. 40.

Podajemy czytelniczkom nowy rodzaj koronki, składającéj się z plecioneczki i sznura, a mimo tak taniego materjału, przedstawiającéj się bardzo efektownie. Podług podanego wzoru osoby znające rysunek, potrafią ułożyć sobie i inne desenie. Na rycinie 21 mamy wskazany sposób roboty zacząwszy od wyszycia plecionką, aż do wykończenia.



N. 18. Krawat szalowy z przekrzyżowanemi końcami.

Deseń najpierw rysuje się na kolorowym papierze albo sztywnym perkalu, na nim naszywa plecionkę, zaszywa podług wzoru, brzegi oszywa sznureczkiem okrągłym, kółka odrabia jak na N. 22 i wszywa na oznaczonych miejscach, a odstępy puste zarobia kratką.

N. 23. Wiązany kapelusz.

Fason do podanego przez nas kapelusza z popielatego jedwabnego rypsu z takąż wstążką, kwiatami i czarną koronką, ma główkę niezbyt wysoką z podłużnie-okrągłem denkiem i wązkiem rondkiem idącem w około, podniesionem z przodu i trochę wygiętem. Od przodu w koło główki, dana rypsowa wstążka 8 cent. szeroka, złożona we dwoje z boku przepięta kokardą, z pod niéj z obu brzegów dana koronka 6 cent. szeroka, ułożona w kontrafałdy i spuszczająca się na główkę i rondko. Z pod

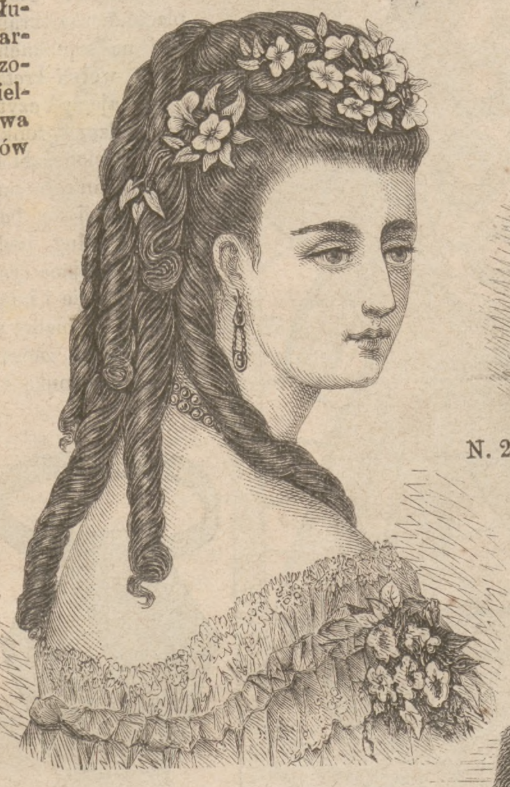


N. 20. Tło krzyżową robotą do pantofli, woreczków i t. p.

pukli upiętych na denku, spada jeden długi, wysiepany koniec, jak to widzieliśmy na rycinie 8 w przeszłym numerze Tygodnika. Do tego końca przymocowywa się środkiem długa, spadająca gałązka kwiatów. Szarfy do wiązania są pod kokardą oszyte koronką. Podwójny garniranek z koronki poddany z przodu.

N. 24—25. Uczesanie głowy
do ubrania balowego.

Uczesanie, które ryciny 24 i 25 podają z tyłu i z przodu, ułożone z długich loków i warkocza po nad czołem, wymaga wielkiego bogactwa własnych włosów i bardzo wprawnéj w czesanie ręki. Najprzód potrzeba włosy odwinąć od skroni w górę z tyłu od szyi w górę


N. 24. Balowe ubranie głowy. Przód — patrz N. 25.

podczesać i okrągłym grzebykiem podpiąć. Loki można powiększyć przez lekkie podtapirowanie, a w braku własnych dodać przyprawne na grzebykach; jeśliby własne włosy nie chciały się zwijać równo, po-

trzeba połączyć je z włosami od szyi podczesanemi i spleść warkocz do którego można wpleść krepinę dla grubości. Warkocz ten otacza się wkoło głowy, a z tyłu na niego spadają loki.

Można także podług woli od skroni podczesane włosy nosić puszczone luźno, gładkie, al-

bo też sfryzowane, zawsze jednak po nad czołem gruby warkocz przechodzić powinien, bo uczesanie gładkie à la chinoise nie może być do twarzy. Najlepiéj harmonizujące z takiem uczesaniem kwiaty, są drobne wianeczki, albo bukiety z długo spuszczonemi gałązkami lub trawkami.


N. 23. Kapelusz wiązany. Zobacz ryc. 8 w N. 11. Tyg Mód.

N. 26 i 28 i 29 z N. 11 T. Mód.
Sukieneczka z wyciętym stanikiem dla małego chłopca lub dziewczynki.

Tunikę i staniczek od sukienki z białéj lub piaskowéj piki, przybierają szlaki haftowane na batyście podług ryciny 29 w N. 11 Tygodnika, podłożone kolorową wstążką. Tunika podpinana środkiem z tyłu i na bokach liczy 32 cen. dług. 190 cent. szerokości u dołu i przykrajana jest jak


N. 25. Balowe ubranie głowy. Tył — patrz N. 24.

spódniczka, tylko 10 cent. krótsza, a 12 cent. szersza. Kokardy na ramionach i u tiuniki z wysiepanemi końcami i puklami układane ze wstążki 5 cent. szerokiéj, a szarfy wiązane i pasek z 12 c. szerokiej rzymskiéj wstążki w pasy.


N. 26. Sukieneczka dla dziecka Patrz szlaki N. 28 i 29. w N. 11 Tyg. Mód.


N. 27. Kokarda do kołnierzyka z aksamitu i rypsu.


N. 28. Kokarda z krepy jedwabnéj do kołnierzyka.


N. 29. Ubranie spacerowe z podwójną peleryną.


N. 30. Ubranie wizytowe z tuniką i peleryną z grenadiny i koronki.